WIZERUNKI

I ROZTRZĄSANIA NAUKOWE.

WIZERUNKI

I ROZTRZĄSANIA NAUKOWE.



CZĘŚĆ DWÓNASTA.

WILNO.

JÓZEF ZAWADZKI WŁASNYM NAKŁADEM.

1835.

Dozwala się drukować pod tym warunkiem, aby po wydrukowaniu złożone były trzy exemplarze w Komitecie Cenzury. Wilno. 1835 r. d. 25 Listopada.

Cenzor L. Borowski.

POEZYJA
LUDU SŁAWIANSKIEGO (*).

PODANIA O LAZARZE.—PRZYGODY MARKA.

Sławiańszczyzna jest mową poezyj narodowych. Od brzegów Adryjatyku, aż po krańce chińskie, tłumaczy się nią sześćdziesiąt przeszło ludów rozmaitych. Rozliczne jéj dyalekta, umiarkowane na południu przez

(*) 1mo W'ybor z Basnictwi Českého. *Cheskian anthology.* Antologija czeska składająca dzieje literatury poetyckiéj w Czechach z przykładami: tłumaczył na angielskie John Bowring. W Londynie 1832; Rowland Hunter, Saint-Paul's churchiard. In 12: 2do. Servian popular poetry. Poezyje ludu w Serwii, przez tegoż. 3tio. Russian anthology. Antologija ruska, przez tegoż.

język włoski, nowoczesną greczyznę i mowę turecką, na północy przez idiomata teutońskie, wszystkie są bogate w pienia, których rytmy, miana, rodzaje do nieskończoności są rozmaite. Wierne składy historyi wraz z religiją tego pokolenia, które, według Malt-Brun'a mieszkało zawsze na wschodzie Europy; poezyje jego spadają z ojca na syna, i z ust do ust, około zimowego ogniska przechodzą, odmieniając się od pokolenia do pokolenia, stosownie do zachodzących przemian w wierze, obyczajach, dobrych chęciach, lub też nienawiściach narodowych. Lud utrzymywany w długiém dzieciństwie przez swoich zdobywców, zbytek życia w pieniach wylewa, powierzając im swoje potrzeby imaginacyi tudzież całą tę dzielność któréj regularnego rozwinięcia się okoliczności mu nie dopuszczają. Oświécać swój rozum, uczyć się i pracować umysłowie, nie dla zaspokojenia tylko bezpośrzednich potrzeb, jest dla nich rzeczą niesłychaną, mianowicie w Kroacyi, Dalmacyi, Illiryi, Serwii, Bośnii i t. d., gdzie piosnki ich tylko czyli opowiadania rymotworcze,

rzadkie ich biesiady oraz popędliwe tańce, jedyną ich uciechę stanowią. W tych krainach gdzie się łany rozległe rozciągają, okryte nieużytecznémi kwiatami, gdzie przemysł jest rzadki, kopalni żadnych, poezyja, dzika roślina, w całém swojém bogactwie wzrasta; a wszyscy ci prawie niewolnicy których my niewiadomością pogardzamy są poetami.

Nie dostawało Homer'a temu wielkiemu narodowi, na liczne części, rozdrobionemu. Potrzebaby ręki genijuszu ażeby rozporządzić te różne podania, połączyć w jedno te piérwotwory rozsiane w rozmaitych pieśniach, ustanowić ognisko wzruszeń współ-czucia wszystkich, i nadadź całość temu starożytnemu plemieniu rozmaicie dzisiaj porozdzielanemu. Epopeja, we właściwém i ścisłém znaczeniu tego wyrazu, nie jest prostą tylko igraszką dowcipu; jest to historyja ludu w jego dzieciństwie; w téj dobie kiedy się poczyna, rozwija się, wzrasta i mówi do siebie samego: *jestem*. Tworzy się ona z pieśni które kołysały piérwsze sny narodu; przejęta jest niepewnémi i obłędnémi zabobonami,

które w tumanie piérwszego jéj poranku, napełniały około niéj powietrze, nadawały ciałem każdy cień znikomy, wolą powiéw wiatru, szmer wody, ludzkiémi słowami, ptaków i źwierzęta; wtenczas właśnie, kiedy ogarniając całe przyrodzenie nieźmierną sympatyi potrzebą, ludzkość wzbierała i wylewała, że tak powiém z brzegów. Homer jest, w oczach moich piérwiastkiem jedności ludów greckich, tak pełnych indywidualnéj niesfornéj kłótliwości; dzisiaj nawet w pieniach tego starego poety Hellenowie, narodowość swoję hartują; znajdują w nim więzy niepodobne do potargania, początek jednostajny, przypomnienia wspólne, chwałę, która tyle promieni rozpierzchnionych w jedno światła ognisko zgromadza. Zdaje mi się, iż, bez epopei Homer'a, mielibyśmy Rumeliotów, Moreotów, Maniotów i Arkadyjczyków; goralów Pindu, i rybaków Arty; lecz nigdy Greków. Gdyby wieszcz powstał z pośrzodka Sławian, któryby potrafił zlać w jedno ciało poezyje wszystkich ich plemion, rody ich oddzielne, wspólnémby podobno życiem

tchnęły: odtąd narodowość ich powszechna byłaby ustaloną, dusze wszystkich drgałyby na dźwięk jednego odgłosu. Byłoby to zaiste piękne przedsięwzięcie, zebrać te wszystkie harmonije, wszystkie te słabe echa, które konają w podziemnych kryjówkach, gdzie mnóstwo jeszcze Sławian przemieszkiwa, (a skąd przodkom ich Trakom dostało się przeźwisko Krovize) (*), i utworzyć z nich jeden głos potężny. Na takie to pienia wznoszą się mury grodów, same się kamienie i głazy kupią, gromadzą się nieunoszone źwierzęta i dają się pohamować, jednoczą się ludzie i mocarstwa powstają.

Wieszcz się nie znalazł, ale materijały liczne były zawsze i bogate. Historyja grecka nie jest obfitszą w tragiczne przygody, w rysy energii z wielkością, prostoty z wdziękiem połączonéj: od olbrzymich klęsk i nieszczęść aż do szczegółów obyczajów prostodusznych,

(*) Ob. Appendini: — *kritti*, z czego zrobiono *krovizi*, albo *krovzi*, co znaczy jeszcze w języku sławiańskim, chować się, kryć się.

aż do westchnień najtkliwszéj miłości, wszystko jest zawarte w tych pieniach, których część historyczna i okazalsza może się na trzy epoki podzielić: na uroczystą i żałobliwą; upadek Lazara i Serwii na polu kosowém: na romantyczne przygody srogiego i walecznego Marka, to jest, czas zapasów i poddawania się Turcyi na przemiany; i nakoniec, na ostatnie skonanie niepodległości z Jerzym Czernim.

Rozmaite powieści poetyckie o Lazarze, ostatnim i wątpliwym potomku sławnego domu Nemeniów nieskończenie są mnogie i wielorakie; a wszystkie wszelakoż mają swoje echo, w historykach; którzy chcąc ustanowić epokę wielkiéj bitwy *kossowéj*, pomiędzy carem czy też królem (*kral*) Serwii a drugim Amuratem, chwieją się co do czasu od 1389 aż do 1448 r. (*). Pienia które się bynajmniéj nie troszczą o daty, sprawują wra-

(*) Dwie są bitwy na Kosowém-Polu, jedna 15 czerwca 1389 z Amuratem I. gdzie zginął Lazar, i Amurat zabity przez Miłosza; druga

żenie religijne i wojownicze znamionujące tę epokę, i w nich się cały, tego runienia ogromnego łoskot rozlega. Naród poeta, rachując stratę swoich według miary swéj żałości, Turków zaś w miarę ich odwagi i męztwa, tłoczy kupy poległych jedne na drugie: zdrada tylko jedynie pokonać ich mogła: wola przeczystéj Maryi Panny Boga-Rodzicy sama uledz ich wodzowi dopuściła.

Car ten wybrany przez kniaziów, możnych panów, i cały stan szlachecki Sławian, pochodził z rodu wielkiego Stefana Nemenia; może był jego naturalnym synem. U stołu to złotego, częstując obficie miodem, gorzałką i winem czérwoném starego Juga Bogdana i dziewięciu jego synów, Lazo (*Lazar*) prosi o rękę Milicy (*Militza*) córki starca, siostry walecznych.—„Kiedy się goście nasycili świéżém winem, zaczęli wszy-

---

1447 r. 19 października bitwa Amurata II. z Serbami i Węgrami, pod dowodztwem Hunyada, którą Amurat wygrał. (*Fessler's Geschichte der Ungarn.*)

stko rozpowiadać; jakim ten a jakim ów bohatyrem: starzec zaś jął wykładać księgi starożytne i czasy przyszłe. — „Patrzcie tylko waleczni bracia, czas się ostateczny przybliża, i nie będzie potém ani trzód, ani domów, ani pszczół, ani kwiatów na polach; krewni z sobą rozprawować się będą przed sądami, bracia przeciwko braciom, zbrojno na polu bojów wystąpią.“

Wtenczas to Lazo bieży po puhar kupiony w białéj Waradinu twierdzy, puhar który Stefan opłacił wagą złota młodéj córce złotnika. Napełniwszy go winem czérwoném podaje starcowi, „który zamyślony ociąga się z jego spełnieniem, nie wié albowiem, coby miał podarować wzajemnie.“ Potężny car głos zabiéra, i prosi dla Lazar'a o Milcę, młodą córkę, ukochane dziécię, ostatnią narodzoną Bogdan'a. Jugowicze zrywają się lekko na nogi, dobywają mieczów; ale rodzic sędziwy ich zatrzymuje. Czyta on w księgach starożytnych i sławnych: córka jego Lazar'owi jest przeznaczona. Ten ostatni, odziedziczy państwo cara, i

z Milicą, w Kruszewaczu nad Morawą panować będzie.

Zmysł przewidywania upadku Serwii napełniający duszę starego Jug'a, wydaje się w wielu pieniach, i zda się być ugruntowanym na przeczuciu gminném, które to proroctwo smutek częstokroć usprawiedliwia. Napotykamy go, między innémi, w pieśni o *założeniu Rawanicy.* Car Lazo obchodzi uroczystość świętego *Amosa;* zasiada on wysoki koniec stołu: wszyscy szlachetni Serwijanie zajmują miejsca około niego, stosownie do wieku i dostojeństw: „kiedy białogłowa, Milica, pani, we dnie i w nocy, jak słońce świetna, z kibicią spiętą nową przepaską, z szyją nowémi naszyjnikami otoczoną, ukazuje się i przypomina carowi w homerycznéın wyliczaniu wszystkie bogobojne zakłady poczynione przez potomków z domu Nemeniów, wtenczas kiedy on zasiadając na tronie, zgromadza tylko skarby, a nic jeszcze dotąd nie wybudował. Natychmiast król chce wznieść Rawanicę, kościół w Rezawie nad rzeką Rawanem. Chce ażeby

mury tych zakładów były białe; chce je opasać srébrzystym wałem jaśniejącym białością, przykryć złotem, ozdobić wewnątrz sznurami pereł i potokami dyamentu.

Cała szlachta powstaje i poklaskiwa: Miłosz-Obilisz, zięć książęcia, sam tylko jeden siedzi nieporuszony, u niższego końca stołu. Wyzwany do mówienia przez cara, który mu podaje puhar złoty, Miłosz stawa na nogi, zdejmuje swój kołpak soboli z kitą, kłania się i mówi: „Otwórz o królu dawne księgi carów. Obacz co one zwiastują. Ostateczne się czasy przybliżają: Turczyn powywraca nasze monastéry, podepcze nogami nasze zakłady bogobojne wraz z twoją Rawanicą: ołów fundamentów przeistoczy się w kule na niszczenie naszych warowni, srébro ze zburzonych murów zdobić będzie rzędy na koniach zwyciężcy, dachy złote pójdą na naszyjniki jego małżonek, perły przyozdobią piersi jego lubownic, dyjamenty pokruszone błyszczeć się będą na rękojeści jego bułatu, i u złotych pierścieni jego niewiast. Usłuchaj mnie przeto wsławiony panie; wybuduj

twój kościół ze skały marmurowéj i z twardych głazów, albowiem z kamienia, kamień tylko wydobydź można. Turczyn podbić może królewstwo, ale się kościół, ku chwale Boga, aż do dnia sądnego ostoi.“

Przepowiednia ta, zwiastuje bitwę, która o przeznaczeniu Serwii postanowiła. Żaden z Serwijanów, w powieściach ludu, nie zaniedbywa stawić się na *placu losu*. Napróżno carowa Milica, prosi ażeby jeden z wojewodów, jeden ze sług wiernych pozostał przy niéj, któryby mógł być posłanym do cara i przynieść nowiny o powodzeniu bitwy. O świcie, już się carowa pod sklepieniami twierdzy znajduje; czeka na wojsko przeciągające oddziałami, i wraz zatrzymuje rumaka, ściska kolana każdego ze swoich dziewięciu braci, błagając, żeby choć jeden z nich pozostał, jeden brat, na *zaklęcie siostry!* Ale z nich każdy chce przelać krew swoję, za krzyż święty: sama więc jedna, omdlała, przez sługę Gołuban'a odniesiona została do wieży białéj. Łzy politowania sączą się po jagodach wojownika; ale mniejsza o

to, więcéj on cierpi że w twierdzy pozostał, serce jego wzbiera od smutku, dosiada swojego dzielnego rumaka z karkiem łabędzim, i w zawody na pole kosowe leci.

Dwa czarne kruki, unosząc się na około wysokiéj wieży, opowiadają Milicy historyją krwi i morderstwa. Garstka wojska chrześcijańskiego, która pozostała, okryta jest krwią i ranami. Wtenczas przybywa stary sługa; w ręce swojéj lewéj trzyma odciętą prawą, siedmnaście ran ciało jego okrywa; krew płynie po bokach rumaka: kiedy zaś czoło wojownika, wodą zimną obmyte zostało, kiedy po skropieniu ciała jego winem czérwoném nieco sił odzyskał, odpowiada na pytania natarczywe i przerywane żony cara, córki Jug'a, siostry Jugowiczów, teści Miłosza i Wuka, w okropnych i krótkich szczegółach. Śmierć każdego z krewnych i sług carowéj, połączona jest z okolicznościami, grozą i politowaniem oznamionowanémi, a które uderzając i rażąc okropnością, męztwo poległego zwiastują. „Co się tycze Miłosza, on samego Sułtana

Amurat'a i dwanaście tysięcy Turków trupem położył, i niech go Bóg, ze wszystkiémi do niego należącémi, za ten czyn błogosławi! żyć on będzie w powieściach i pieniach, aż póki stopom nie zabraknie ziemi; aż póki pole kosowe nie zniknie. Co się zaś tycze przeniewiercy Wuka, syna Branki (*Brankowicza*), niech on z całém swojém plemieniem przeklęty zostanie! on to bowiem zdradził cara."

Dziejopisowie tureccy i topografowie tego kraju, doskonale się z pieniami serwijskiémi zgadzają. Na płaszczyźnie, która dotąd jeszcze nosi kosowego pola nazwisko, o pół mili od rzeki Szynicy (*Schinitza*), wznosi się grobowiec Amurat'a, zabitego przez Miłosza Obilisza *Bareiktarza* chrześcijańskiego. Derwiszowie mieszkający w pobliżu, utrzymują lampy gorejące bez przestanku, w pomniku grobowym, a na pochyłości niedalekiego wzgórza (*), ukazują jeszcze grób chorążego serwijskiego, który zabił Sułtana

(*) Obacz Pouqueville, *Voyage*.

i był rozsiekany w kawałki przez Janczarów.

Nieco przed bitwą, szary sokoł, przybywający z Jeruzalem, „nie, to nie był sokoł, lecz Elijasz prorok“ przyniósł carowi pismo Boga-Rodzicy. Lazarowi wolno było wybiérać, pomiędzy królestwem niebieskiém a królestwem ziemskiém: przeniósł on, i wybrał dla siebie piérwsze: wznieść kazał na polu bitwy, jak to przepisywała Matka-Boża, ogromny namiot szkarłatny ozdobiony złotem: tam całe wojsko, gotując się na śmiérć sakrament kommunii przyjmowało. W wielu śpiéwach, opowiedziana jest ta bitwa stanowcza, w których się mnóstwo tkliwych i rozrzewniających obrazów skupia. Przystrajają one grobowiec ojczyzny: jest to hymn nieprzerwany pochwał i żałości. W jednym, młoda dziewica, trzymająca w swoich delikatnych ręku, dwa puhary złote napełnione, piérwszy świéżą wodą, drugi winem czérwoném, z zakasanémi aż po łokieć białémi mankietami, mająca za plecami chléb biały, przede dniem się na pole kosowe u-

daje. Tam ona przewraca ciała bohatyrów nurzające się we krwi: a jeśli znajdzie którego przy życiu obmywa go wodą, wlewa mu wina do gęby, a do jedzenia mu chleba białego daje. Takim sposobem, jednego młodego wojownika pokaléczonego, ratuje, u którego widać drgające serce, przez porąbane boki: odzyskuje on przytomność, i pyta się młodéj dziewicy, dla czego ona broczy we krwi bohatyrów? Ta, ciekawość jego, pełném prostoty opowiadaniem, zaspokaja: „kochany bracie, wojowniku nieznajomy, rzecze, nie szukam ja żadnego z moich krewnych, ani brata, ani bratniego syna, ani dziada, ani ojca. Wszak ty wiész, wiész wojowniku nieznajomy, kiedy przed dwudziestu dniami, trzydziestu mnichów dawało kommuniją wojsku Lazara króla, w przepysznym kościele samodryskim: wszyscy Serwijanie kommunikowali owéj nocy; ostatni przybyli trzéj wojewodowie, trzéj waleczni..... Ja stałam u drzwi mojego domu kiedy wojewoda Miłosz przemijał. Jakże ten bohatyr wielkim był za swego żywota! bułat jego

ciągnął się po ziemi, pióra zdobiły kołpak jego jedwabny; miał na sobie płaszcz w kraty, a jedwabna związka otaczała mu szyję. Spoglądał na około siebie, wzrok jego na mnie się zatrzymał; wtenczas rozpiął on swój płaszcz kraciany, rozwiązał go i mnie podając, rzekł:—Weź ten płaszcz, młoda dziewico, weź go na pamiątkę ode mnie, i niechaj ci on imie me przypomina. Widzisz moje dziécię, ja się tam udaję, ażebym poległ na placu bitwy książąt. Proś Boga, kochana duszo, ażebym cały i zdrowy powrócił, a tobie niechaj ztąd szczęście przybędzie. Jeżeli powrócę, ożenię z tobą mojego Miło, mojego kochanego przyjaciela, który dzisiaj jest moim bratem oręża. Przez Boga wszechmogącego i świętego Jana, ojcem twoim w dzień ślubny będę!" Opisanie to, podobnym się sposobem zaczyna, względem każdego ze trzech wojewodów. Drugi z nich daje jéj pierścień złoty przyrzekając oblubienicę do ołtarza prowadzić: trzeci, Miło-Spolica daje swój naramiennik (*bransoletkę*) złoty; a jeżeli powróci, młoda dziewica mał-

żonką jego zostanie. Ale się wszyscy udali tam, *ażeby poledz.*

„Czy widzisz kochana duszo,“ odpowiada młody wojownik okaléczony, „kochana siostro, córko pola kosowego; czy widzisz te włócznie bojowe? tam gdzie one zwalone są w stos wysoki, krew walecznych potokami płynęła. Wrzała ona aż do strzemion, a od strzemion aż do uzdzienicy końskiéj, aż do jedwabnego pasa wojownika; tam to, trzéj waleczni polegli. Idź, powróć do twojego domu, nie walaj we krwi twoich ramion i krajów twojéj szaty. Młoda dziewica płacze i powraca: upadła około zielonéj łąki; liść tam pada i usycha zaraz na jéj ciele.

Tymczasem po cztérdziestu latach, kiedy karawana ze Skupi (*Uskup* w Macedonii) czerpa wodę u świéżego źrzódła, jaśniała jeszcze w wodzie nakształt, w pełni, księżyca: „święta głowa, świętego książęcia serwijskiego, rzucona na zieloną murawę, porusza się zwolna, i w obliczności trzechset sędziwych kapłanów, dwunastu wielkich arcy-

biskupów, i cztérech dawnych patryarchów, łączy się ze świętém ciałem i o pogrzebienie prosi: nie w obcym monastérze, ale w jego własnym zakładzie poświęconym, w pięknym rawanickim klasztorze, na zielonêm wzgórzu lasów kutszajskich, w tym klasztorze, który sam Lazo ufundował, kiedy błogo kwitnął w swym dworze białym: klasztor ten, za zbawienie duszy, wzniesiony został o jego własnym chlebie, za jego własne pieniądze, bez łez i mienia ubogiego!

Barwy religijne i uroczyste śpiéwów o Lazar'ze zacierają się zupełnie w *popiewce* (*) (pienie), na cześć królewica Marka ułożonéj. Już to nie jest taż sama epoka; Serwijanin żyje z Turkami, chociaż ich serdecznie nienawidzi, a niekiedy może wychodzi

---

(*) Pieśni bohatyrskie pewnéj długości nazywają się *pism*, *piesn*, *pojsz*, *popiewke*, *popiewkinie*, od słowa *poiti*, albo *piewati*, śpiéwać. Piosnka maleńka anakreotyczna zowie się *satszinka*. Jedne i drugie rzadko są rymowne: miara téj ostatniéj bywa rozmaitą; lecz *popiewki*, powszechnie są dziesięciosylabne trochaiczne. (Ob. Appendini.)

z nimi do walki: niekiedy zamienia on kołpak na turban, albowiem nie masz przegrody nieprzeskocznéj pomiędzy chrześcijaninem a niewiernym; wojny domowe i obce zdemoralizowały naród, a nieład powszechny, nie dopuszcza ostać się żadnéj, oprócz dzikiéj siły, cnocie. Siła tylko jedynie panuje: przetoż Marko bohatyr ludu jest krzepkim nade wszystko. Goethe, zrobił uwagę, iż Marko Kralewicz, podobny jest do Herkules'a greckiego i Rustan'a perskiego: ale jeżeli mi przed tak przemożną powagą wolno ośmielić się wystąpić z mojém zdaniem, musiałbym oświadczyć, iż udurzony jestem podobieństwem bohatyra sławiańskiego z naszym Rolandem. Jak ów paladyn, Marko za najlepszego towarzysza ma swojego rumaka; jak synowiec Karola wielkiego, doświadcza swojéj waleczności na bisurmanach, i jak on, twardo i potężnie uderza. Bez małżonki, bez dziéci; żadne tkliwe uczucie nie rozmiękcza jego serca z żelaza: bez państwa i korony, rozjemcą jest monarchów; szydzi z Sułtana przed publicznością

jego brody, wzór burzliwéj i grubijańskiéj szlachty, w owéj epoce, na Wschodzie, podobnie jak Roland był na Zachodzie: przybywa, oddala się, stacza boje, skoro to jemu przyjdzie do głowy; sam jeden, bez niczyjéj pomocy oswobadza córkę sułtańską; sam znosi wojska, krępuje pojmanych królów, wiąże ich do swojego rumaka, wystawia ich na okup, uwalnia wojewodów, swoich przyjaciół jedynie tylko potęgą swojego przeważnego ramienia: a powieści co raz odmienne, o jego śmiérci, pod wątpliwością jeszcze ją zostawują: jak gdyby ten tak waleczny bohatyr nie mógł umrzeć, a życie trzech wieków nie zdołało wystarczyć na wyczerpanie młodości i sił jego. Ukryty w lesistych górach, według niektórych pieśni przebywa tam zasromocony z przyczyny wojowników naszych odrodnych czasów, korzystających z wynalezienia prochu, które w ręce najsłabszego dziécięcia życie najstraszliwszego bohatyra wydaje. Nasi paladynowie udający się na wschód i południe, do Afryki a nawet i do Azyi, wojować prze-

ciwko Saracenóm i Maurόm; awanturnicy normandzcy, przebiegający królewstwa których ani imiona ani położenie znane im nie było; zmiatają swoim potężnym bułatem natrafiane, po drodze, mocarstwa: krzyżowcy, naprzód i w tył przebiegający ląd cały, dostatecznie stosowność bohatyra serwijskiego z rycerzami francuzkimi tłumaczą. W wielu naj ·pad ejszych miastach niemieckich, posągi kolosalne, od stop do głowy uzbrojone, z dobytym w ręku mieczem, naźwisko Rolanda od ludu odebrały. W Raguzie nawet, mieście dalmato-sławiańskiém, na placu publicznym, pomiędzy cztérema kolumnami chórem zakończonémi wznosi się olbrzymiéj postaci *Orlando*, posąg dźwigniony, jak powiadają kronikarze, na pamiątkę synów siostry Karola wielkiego, Roland który miasto od piratów saraceńskich oswobodził, zatopił w morzu okręty niewiernych, pojmawszy kapitana ich Spucento, głowę mu ściąć rozkazał, a na bramie arsenału, w Raguzie, umieścił popiersie rabusia, jako pomnik swojego zwycięztwa.

Naprzód na polu kosowém ukazuje się ogromna postać Marka. Cztéry obozy są wzniesione przed kościołem samodryjskim; cztérech wojewodów kłóci się o dziedzictwo krwawe i rozszarpane Lazar'a. Są to trzéj bracia: Wukaszyn, król; Uglisz despota, zupan; Gojko wojewoda; czwarty zaś oboz należy do dziécięcia, syna carowego. Każdy z ubiegających się wyprawuje swojego posłańca do Proto-popa, który dawał kommuniją królowi ostatniéj jego nocy i ostatniéj spowiedzi jego słuchał. Każdy z panów, chce się złożyć świadectwem tego prałata, i poczytuje się za następcę prawego naznaczonego przez Lazar'a. Swięty kapłan żegna ze łzami wysłańców od książąt. „Badał on cara względem jego grzechów, nie zaś względem jego dziedzictwa; wyprawuje przeto heroldów ukwapliwych, do swojego wychowańca Marka, przebywającego w twierdzy Prilipie. Syn królewski prawą był ręką cara; umiał on pisać i wojować: czyta w księgach „świętych i wié do kogo królestwo należy. „Wezwać Marka na pole kosowe, on powié

prawdę, abowiém ten bohatyr, BOGA się tylko samego jedynie lęka." Marko znajduje się w swoim białym dworze razem ze swoją matką: sam drzwi swoje otwiéra, i przyjacielskim sposobem, posłańców po ramionach uderza, pytając się ich o nowiny względem króla i cara. Kiedy się dowiaduje, że oni, jeden drugiemu swojémi sztyletami złotémi zagrażają, a w porożnieniu swojém odwołują się do jego świadectwa, Marko do swojéj się matki udaje. „Jeżeli to było mléko moje, którém wykarmiłam ciebie Marko, ty fałszywego świadectwa nie wydasz!" rzekła. Ojciec to Marka Kralewicza i jego stryjowie współ-ubiegają się do tronu, a car młody jest jego synem chrzestnym. Przetoż, skoro się ten bohatyr ukazał z posłańcami przed namiotem Wukaszyna: „Błogo mnie! rzekł Wukaszyn, to mój syn Marko; powié on że tron mi się należy, albowiem syn po rodzicu dziedziczyć powinien." Marko to słyszy nic nie odpowiada i przemija. Marko także przed namiotami stryjów swoich postępuje: każdy na widok jego

napawa się nadziejami roskosznémi, że pokrewieństwo, i dawne ich czułości dowody, połączone z pochlebnémi obietnicami jakie mu czynią, tron im zapewnić powinny. „Marko, rzekli oni, synowcze, ty najpiérwszym zostaniesz, a car którego masz mianować, wyżéj się twych kolan nie podniesie.“ Bohatyr zawsze milczy i przemija; zatrzymuje się nakoniec przed namiotem Urosza, i tam przepędza calutki dzień *biały*, dzień odpoczynku. Nazajutrz po mszy i biesiadzie, Marko otwiéra księgi dawne i surowe słowa wymawia.

„Królu Wukaszynie, czci godny ojcze, alboż ci niedosyć na twojém własném królewstwie? jeżeli niedosyć niechaj ono bez pana pozostanie! po cóż sięgasz po państwo cudze?“ Przemówienie, w téjże saméj formie obrócone było i do trzech wojewodów, a królewstwo przysądzone młodemu Uroszowi, „albowiem syn po rodzicu dziedziczyć powinien.“

Zapalczywość Wukaszyna była straszliwą; cud tylko, zabić mu syna nie dozwolił,

ktory obiegł na około kościoła, i w świętym się obwodzie jego schronił: „Tak jest, szlachetny Marko uciekł, albowiem, nie przystało na syna, walczyć przeciwko temu który go spłodził; ze skrzydła zatém anioła Pańskiego gniéw królewski krwi utoczył.“ Nie mogąc zamordować swojego syna, Wukaszyn mu złorzeczy: „Nie będziesz ty miał, powiada do niego, ani potomka, ni téż grobowego kamienia, a piérwéj niż twoja dusza ciało porzuci służyć będziesz sułtanowi.“ Z drugiéj strony, car młody, ojcu swojemu chrzestnemu błogosławi: „Oblicze twoje zawsze będzie jaśniało w radzie, Marko, zawsze twój bułat, zwycięzko na polu bitwy rąbać będzie; nie będzie większego bohatyra nad Marka, a imie jego póty przetrwa, póki słońcu i księżycowi światłości wystarczy.—Tak oni powiedzieli, tak się i stało!“

W rzeczy saméj wielkość imienia Marka przewyższa wszystko. Sługa Turczynów przejmuje ich drżeniem; ścina głowę wezyra i przechwala się z tego przed sułtanem,

który mu natychmiast tysiąc sztuk złota zalicza, i śmiéjąc się do rozpuku powiada: „Gdybyś nie był począł, w ten sposób, sobie mój synu Marku, nie mógłbym cię synem moim mianować. Najnikczemniejszy z Turków zostać może wezyrem; ale jeden tylko Marko jest na całym świecie!“ Syn królewski bierze kiesę, milczy i natychmiast dywan opuszcza. „Albowiem sułtan nie podarował mu pieniędzy,“ dodaje prostoduszny poeta, „ażeby Marko zasiadł pić spokojnie wino złote, lecz żeby ten bohatyr oddalił się natychmiast, albowiem bohatyr ten wpadł we wściékłość.“

Bohatyr serwijski, według przepowiedni swojego rodzica, walczy za Turków i staje się ich ofiarą. Za nich wziął pomstę z Maurów czarnych, którzy są olbrzymami i czarodziejami téj historyi rycérskiej. Tymczasem Mussa Arnauta (*Albańczyk*), wybudował sobie wieżę nad brzegiem rzeki, wieżę nasrożoną hakami żelaznémi, dla wieszania na nich księży i pielgrzymów. „Mussa rozważył, że od lat dziewięciu służy sułtanowi

Stambułu, nie zyskując tyle, ażeby sobie mógł kupić konia, nową odzież, a nawet podnoszoną kurtkę. Pozapiérał przeto bramy, pozagradzał drogi na brzegu, i wszystkie pieniądze, przybywające do Sułtana, to jest, trzysta wag złota do roku, Arnauta do siebie zabiéra.“ Trzy tysiące wojowników posłanych przez Turka przeciwko Albańczykowi poległo, a wezyr kiupryjski który nimi dowodził, sam jeden tylko, z rękami w tył skrępowanémi, z nogami przywiązanémi do rumaka powraca. Ze wszystkich których sułtan przeciwko Mussie wysyła, żaden do Konstantynopola nie powraca, a Chodża kiupryjski zawołał: „Panie, władco stambulski, Marko sam tylko zabić Mussę podoła!“ — Daj mi pokój Chodżo kiupryjski; co ty mi powiadasz o Marku; kości jego dotychczas już zgniły. Trzy lata już upłynęło od tego czasu, jakem więzienia jego nie kazał otwiérać.“ Wtenczas wezyr zrywa się na lekkie nogi, otwiéra więzienie i Marka Kralewicza z niego wyprowadza. Włosy bohatyra spadające aż do ziemi

wzdłuż i wszerz jego pokrywały, paznogciami swojémi długiémi mógł orać ziemię, a błoto więzienia, czarnym go jak węgiel uczyniło. Na prośby sułtana Marko odpowiada: „Ah panie! władco Stambułu, przez Boga wszechmogącego błoto więzienia całego mię okryło, i jakże zdołam walczyć, kiedy moje oczy nic nie widzą? Ale każ mię przenieść do karawan-seraju nowego; każ mi dać wina i gorzałki bez miary, najtłustszego baraniego mięsiwa, chleba z najbielszéj mąki, ażebym się mógł pokrzepić cokolwiek: a ja ci powiém kiedy będę do walczenia sposobny.“ Przez trzy miesiące, Marko jé pije i pokrzepia się; jak każdy bohatyr serwijski, syn króla, Marko pije tyle wina, pod swojém namiotem, ile na polu bitwy krwi z nieprzyjaciół wytacza. W końcu trzech miesięcy każe sobie przynieść drzewa suchego, od lat dziewięciu złożonego w stosy; ściska go potężnie w swojéj ręce prawéj; drzewo w wielu miejscach pękłe, ale ani kropla jedna wody z niego nie wyniknęła. Jeszcze nie czas: Marko znowu jeszcze na

miesiąc zasiada do stołu; ponawia doświadczenie, ściska drzewo w swoich krzepkich palcach; dwie krople soku zeń wystąpiły: wtenczas bohatyr sposobi się do boju; każe hartować swój bułat; a dla doświadczenia, rąbie na dwoje, od jednego cięcia kowadło; potém dosiada swojego wronego rumaka, swojego *Szaraca*, i udaje się szukać Mussy, dopytując go się wszędzie. „Siedząc, założywszy na krzyż nogi, na swoim koniku maleńkim, Arnauta, dla igraszki wyrzuca pod obłoki swoję maczugę ogromną; chwyta ją na powietrzu swojémi białémi rękami.“

Przedziwne są, mojém zdaniem, słowa Mussy wyzywanego przez Marka: „Trzymaj się swojéj drogi Marko, nie rozpoczynaj wojny, zsiądź raczéj z rumaka i chodź pić ze mną, albowiém ja tobie nigdy nie ustąpię. Jeżeli ciebie powiła królowa na miękkich poduszkach z puchu, jeżeli otulony w najczystsze jedwabie i obwinięty złocistémi spowijaczami, przyjmowałeś od niéj posiłek cukrowy; mnie dzika Albanka, na zimnéj złożyła ziemi, obok swojego stada; otuliła mię

swoją burką z koziéj wełny i obwinęła spowijaczem skręconym z dzikiéj witwiny; karmiła mię mocną z owsa poléwką i zaklęła ażebym nikomu nie ustępował, ani się przed kim bądźkolwiek uginał.“

Walka, do któréj się wdawają bóztwa, Wila, nimfa lasów, rozmawiająca z echem, płacząca w szeleście listków na drzewach, rycząca z rozjątrzenia, w nawałnicy, walka ta, mówię jest straszliwa, i Marko wychodzi z niéj zwycięzcą. Ale jakże tu oschłym jest rozbiór! i jak on niedostatecznie, téj potężnéj i dzikiéj poezyi odpowiada! Nie wyjątki tu, zimno przytoczone, mogą dać jéj wyobrażenie. Są to pienia, nie zaś pisma, i słyszećby je potrzeba rozlegające się, jeśliby wyszły z ust dźwięcznych i brzmiących jakiegoś krzepkiego starca, który, sam także, zakosztował krwi tureckiéj razem z zaziejaną roskoszą słuchania, nacierania, ucieczki i ścigania, przez te bezdrożne lasy, nad brzegami tych jeziór zielonych, pod témi mchem obrosłémi skałami, wśrzód których, tajemnicza Wila przebywa i ztamtąd wyroki swoje wydawa.

Niektóre ułamki z listu, w którym mi donoszą o podaniach względem Marka, utrzymujących się jeszcze pomiędzy ludem, gdzie znajduje się inna wersyja opowiedzianéj tu bitwy, wystawią może coś z żywych uczuć ludów wschodnich lubiących cudotworne powieści, wystawne podania o bohatyrach którzy już zniknęli.

„Mamy tu Papę mieszkańca Tracyi, nad brzegami morza czarnego. Wiek jego jest podeszły, przeżył bowiém lat siedmdziesiąt: nosi on długą i białą brodę, twarz ma ciemną, wzrost wysoki, i dziurę wpośrzód czoła dosyć znaczną, tak że się w niéj orzech laskowy mógłby pomieścić. Miarkując z historyj jakie zawsze przy wieczerzy opowiada, widzieć można, iż się na coś innego niż na księdza urodził. Mówi on z zapałem o koniach, o strzelbach, o mieczach, słowem, o wszelkiego rodzaju wojennym rynsztunku i zna się na nim doskonale. Wychował się pomiędzy sułtanami Krymu, tatarskimi hanami, którzy się do Adryjanopola schronili, a następowali na tron sułtański, na przypa-

dek wygaśnienia teraźniejszéj cesarskiéj rodziny. Historyje jego często się o tych książętach toczą; ale mówi także o kleftach, a o kleftach konnych. Zaleta jego powieści zawiéra się raczéj w sposobie jakim je opowiada, aniżeli w historyi saméj; o niczém, w opowiadaniu swojém nie zapomina: w prawą w lewą, imiona właściwe, opisanie rumaków, oręża, bohatyra, wszystko się tam znajduje. Kiedy rozprawia o swojéj młodości i o bitwach, w których uczestniczył, jest przewybornym: wtenczas to zupełnie, że jest duchownym, zapomina. Do tego potrzeba żeby był rozochocony; a jeżeli ktoś nie przykłada zupełnéj wiary do tego wszystkiego, co mówi, wpada prawie we wściekłość. Pewnego wieczora, pytałem go się, azali mu, pod jakimbądź względem znany jest Marko Kralis?—„Dla Boga! czemużby nie? odpowiedział. Widziałem w Adryjanopolu jego więzienie tudzież bót jego zawieszony u drzwi tego więzienia, zamkniętego zawsze, od czasu jego swobody. Więzienie to napełnione było kamieniami przez samegoż Marka. Sposób

jakim on się z niego wyswobodził jest osobliwszy. Arab pewny na koniu waleczny jak nikt w świecie, za jego czasów, okolice miasta pustoszył: jakkolwiek licznymi byli Muzułmanie, nie mogli atoli dotrzymać mu pola; biada zuchwalcowi który się w bojowym kroku czekać nań ośmielił. Turcy przypomnieli sobie, iż trzymali Marka w tarasie, Marka jedynego który mógł zachwiać Arabem; uwolnili go tedy, pod tym warunkiem, wybór mu broni zostawując. Nie chciał on żadnéj; udał się na spotkanie Araba, bezbronny i pieszo, a niemieszkając, go zoczył: wtenczas ten bohatyr, przy rolniku się zatrzymał do którego pługa zaprzężonych było sześć wołów; porwawszy tedy pług ten za dyszel, Marko podniósł go z sześciu wołami, i wszystko to razem cisnął na swojego przeciwnika, który, ma się rozumieć, że był przygnieciony.—,,Mój ojcze, rzekłem, pozwól mi tu zrobić malutką uwagę i sam się musisz zgodzić, że tu jest cokolwiek przesadzenia. Sześć wołów, razem z pługiem cisnąć na powietrze! zdawałoby mi się troszkę

za wiele."—„Słusznie powiadasz, boś nie widział jego bóta, w którym pacholę, od lat dwónastu, schować się może wyśmienicie. Jeżeli ten bót i kolczuga którem oglądał w Konstantynopolu, do siedmiu wież przybitą, a którą mi ukazywali, powiadając, że do Marka należała, były rzeczywiście jego własnością, nie trudno mu było podnieść pług i wołów za razem, a z niémi i oracza jeszcze jeżeliby się tak spodobało!"

Opowiadaczom, jak założycielóm nowego wyznania, przed wszystkiém zupełnéj i bezwarunkowéj wiary potrzeba. Wymowa ich wzmaga się i wzrasta, w stosunku do wzruszeń słuchaczy. Właśnie, w tym się przypadku znalazł sławiański, mojego korrespondenta, Papa; i moje opowiadania wydadzą się długiémi, jeżeli się nie zastosujemy do marzeń tego nieboraka, którego byt rzeczywisty jest tak nędzny, tak ze wszelkich powabów ogołocony, iż dziwić się nie potrzeba, że się ucieka do marzeń i uroków.

Pomiędzy odmiennémi podaniami, względem śmiérci Marka, znajduje się jedno, które

za wysoce poetyczne poczytuję. Bohatyr jechał konno, na swoim poczciwym Szaracu, przed wschodem słońca, w poranku dnia niedzielnego, wzdłuż morza, na górze Urwina; kiedy znagła Szarac się potknął i zapłakał. Serce się królewica wzrusza; pyta Szaraca, przecz się potyka i piérwszy to raz od stu sześciudziesiąt lat, jak tobie nawzajem towarzyszę, tak się przytrafia. Wołanie Wili górnéj odpowiada: „Szarac płacze nad panem, z którym rozłączyć mu się potrzeba.“ Ale Marko odpowiada. „Bogdajby ci się ścisnęła i zadławiła gardziel, biała Wilo! lecz zełgałaś! Dopóki głowa moja pozostanie na karku, nigdy się z moim Szaracem nie rozdzielę. Nie masz nadeń lepszego rumaka, na całéj ziemi, równie jak nade mnie nie masz lepszego bohatyra.“ — „Ty nie możesz być zgładzony ze świata, kochany Marko; odpowiedziała Wila, ani ramieniem bohatyra, ani cięciem ostrego bułata, ani ciosem ciężkiéj maczugi, ani ostrzem dzidy, a wszelakoż, biédny Marko, musisz umierać!“ Obaczywszy tu, swoje oblicze, we zwiercia-

dle zdrojn, na wierzchołku góry, bohatyr ma się dowiedzieć, iż umrze. Wykonywa zatém to, co mu zaleciła Wila: przywiązuje swojego rumaka do sosny okrytéj zielonością, nachyla się ku wodzie zdrojowéj, ogląda swe oblicze w tém zwierciadle i poznaje że umierać potrzeba.

„O moje piękne życie! wdzięczny kwiecie! nadobną byłaś krótka wędrówko! krótki żywocie, któryś trzysta lat tylko miał trwałości, a już potrzeba mi świat odmienić.“

„Wtenczas bohatyr dobył swojego wyostrzonego miecza, dobył go, odwiązał od pasa i szedł ku swojemu rumakowi. Za jedném cięciem odwalił głowę Szaraca, zapobiegając ażeby ten nie wpadł w ręce Turków, ażeby nie został bydlęciem roboczém Muzułmana i nie woził wody jego *suguronem* (*).... Połamał potém swoję szablę na cztéry sztuki, ażeby się Turkóm dostać nie mogła, którzyby się przechwalali że im

---

(*) Gatunek beczki, wielkie naczynie w którém wodę wożą.

Marko szablę swoję zostawił, a bohatyrowi złorzeczyłoby za to chrześcijaństwo. Potrzaskał swoję włócznią na siedm kawałków które pomiędzy gałęzie gęstéj sośniny pozarzucał; potém nakoniec, wziął swoję straszliwą maczugę, wziął ją w swą potężną prawicę, i cisnął z góry Urwiny daleko, w bałwany błękitnego i ponurego morza. Potém rzekł, rzekł to Marko: „W dniu w którym ta maczuga wypłynie na wierzch wody, w tym dniu tylko ukaże się wojownik równy, synowi królewskiemu, Markowi."

Wreszcie bohatyr zapisuje na swoich kartach, w spadku, jednę kiesę temu, który ciało jego pogrzebie, drugą na ozdoby kościołów; trzecią, kulawym i ślepym zostawuje, ażeby kulawi i ślepi, przebiegając świat, w pieniach swoich, imie i czyny Marka rozsławiali; przybija to pismo do kory sosny zielonéj, rozściela swą dołomę na trawie, nasuwa na oczy swój kołpak soboli, kładzie się i już nie wstaje więcéj."

Przez cały tydzień każdy wędrownik przebywający drogę i widzący rozciągnionego

Marka, obchodzi go zdaleka, i mówi w sobie: bohatyr zasypia. ,,Wreszcie Bazyli, z góry Atos przybywa ze swoim uczniem; oddala się z razu z uszanowaniem i bojaźnią: ale przeczytuje kartki, płacze, unosi trupa bohatyrskiego, płynie z nim na okręcie do góry Atos, grzebie to ciało w śrzodku świętego kościoła; lecz nie wznosi mu żadnego pomnika, lękając się ażeby wrogowie, rozpoznając grób Marka, nie radowali się i z dziką nie śmieli się pociechą.

(*Ade. Mongolfier. — Revue Encyclopedique.*)

DOKTOR FRANCIA.

DYKTATOR PARAGWAJU.

Spomiędzy wszystkich ludzi których rewolucyja Ameryki południowéj rzuciła na scenę polityczną, dla grania pewnéj roli, w tym dramacie zawikłanym, który się przedstawia ciągle, wpośrzód nędzy, zepsucia i rozbojów, Doktor José - Gaspar - Rodriguez de Francia, odznacza się przez osobliwość swojego charakteru, tajemniczość swéj polityki, oraz trwanie swéj władzy. Człowiek ten nadzwyczajny dokonał swojego przywłaścicielstwa, nieściągnąwszy na się baczenia Europy, któréj uwaga wyłącznie zwrócona była na świetne czyny i dzielne zapasy Boliwar'a. Piérwsze opowiadania, które u-

chyliły cokolwiek zasłony rozciągnionéj, przez politykę dyktatora, na około tego kraju, oddzielonego w śrzodku Ameryki, jak są Chiny na krańcach Azyi, za wymysły romansowe poczytywano. Wreszcie, powątpiwanie, z jakiém przyjęto z razu w Europie te osobliwsze odkrycia, nic w sobie zdumiewającego nie zawiéra, gdy sameż ludy otaczające Paragwaj, w swéj niepewności, dały bieg mniemaniom najsprzeczniejszym z sobą, względem tego tajemniczego człowieka.

Według jednych, jest to filozof przyjaciel ludzkości, który pragnąc zachować kraj własny od nieszczęść i klęsk, jakie rewolucyje prowadzą za sobą, usiłował, przez oddzielenie się, oddalić od niego tę zarazę narodów sąsiednich, prowadząc go drogami postępu i cywilizacyi. Drudzy widzą w nim tylko pospolitą pychę, własnemu wyniesieniu się, pomyślność kraju poświęcającą. Część trzecia zajęta myślami względem zmartwychwstania narodu jezuickiego w Europie, tudzież pamiątkami przywiązującémi to przemożne stowarzyszenie do przeznaczeń Paragwaju, chce,

w doktorze Francia dziedzica i spadkobiercę przemożności synów Lojoli upatrywać. Przez czas niejaki zdawano się wierzyć, iż on w imieniu królowéj portugalskiéj, wdowy, władzę sprawował; a w innéj znowu epoce mówiono o układach rozpoczętych z don Pedrem, ażeby dójść do traktatu przymierza zaczepnego i odpornego, pomiędzy Brezyliją a Paragwajem; ale doniesienia, które PP. Reugger i Longcham ogłosili, względem swojego pobytu w Paragwaju, a które my, przed oczy naszych czytelników wystawujem, wszelkie powątpiwania rozproszą, i Europie, co się dzieje w tych amerykańskich Chinach odkryją. Zbliżeni, przez lat wiele, do kryjówki tego potworu, tak biegli naturaliści, mogli swobodnie jego instynkt i jego obyczaje rozpoznawać, i napisać zupełną i dostateczną jego monografiją, która jest rozdziałem niemałego interesu, w historyi naturalnéj Paragwaju.

Doktor Francia urodził się w 1763 r. ojciec jego był Francuzem, który przebywszy lat wiele w Lizbonie, skończył na emi-

gracyi do Paragwaju, gdzie się ożenił z młodą kreolką spłodził z niéj niemało potomstwa. Przed rewolucyją młodzież lepszych rodzin, nie miała innego wyboru prócz urzędów cywilnych i duchownych. Francia, przez swojego ojca przeznaczony na kapłana został, w tym przeto celu, piérwsze swoje nauki w seminarijum zakonników *Wniebowzięcia* odbył. Poźniéj poszedł do uniwersytetów *Korduby de Tukumanu*, który jest Salamanką Nowego-Świata: uczynił tam prędkie postępy w naukach klassycznych, i ze sławą, stopnie swoje teologiczne pootrzymywał. Ale zostawszy doktorem, przykładanie się do nauk świętych, na prawnictwo zamienił, i zamiast wyświęcenia się na księdza, został adwokatem. Za powrotem z *Wniebowzięcia*, poświęcił się z zapałem sprawowaniu swojego powołania, i odznaczał się, pomiędzy wszystkimi swoimi współ-towarzyszami przez swoję odwagę obywatelską i swą nieskazitelność. Okazał się, rzeczywiście podporą słabego przeciwko możniejszemu, biédnego przeciwko bogaczowi. Chociaż dziedzictwo jego było nie

nader znakomite, nie starał go się atoli pomnażać, a jego bezinteresowność niepodległość mu zapewniała. Za całą majętność posiadał pół-domu w mieście i maleńki folwarczek: jego wyobrażenia względem własności, były tak osobliwsze, iż znajdując jednego dnia, w swojéj szkatułce ośmset piastrów, 4,000 franków, summa nader znakomita, według jego mniemań, dla jednego człowieka, pokwapił się natychmiast zanieść ją do stolika gry, gdzie całkowicie, za piérwszém rzuceniem kości przegrał.

Pełen zapału ku naukóm i roskószóm zmysłowym, nie ustąpił nigdy słodkim wzruszeniom miłości, ani téż surowszemu przyjaźni uczuciu. W kole nieuctwa w którém przebywał pozbawiony wszelkich zasiłków literackich, nie mógł nabydź głębokiéj wiadomości, ani ludzi, ani rzeczy. Wreszcie temperament jego, od towarzystwa go podobnych mu ludzi oddalał: podległy przystępóm hypochondryi, która to choroba dziedziczną w jego rodzeństwie była, i którą podobnież, jak jego ojciec, brat i siostra

cierpiał, zdawał się przeznaczonym raczéj na złorzeczenie nie zaś na przewodnictwo społeczności. Ztémwszystkiém, wziętość jaką był winien swojéj nauce tudzież swojéj bezinteresowności, wyniosła go prędko na piérwsze municypalne urzędy; naprzód członek rady, został wkrótce alkadem. W r. 1811, kiedy Paragwaj, idąc za przykładem ludów sąsiednich, ogłosił swoję niepodległość, kongres zgromadzony naprędce złożył z urzędu gubernatora hiszpańskiego i sam się rozszedł wybrawszy spomiędzy siebie juntę złożoną z prezydenta, dwóch członków i sekretarza. Francia zaszczycony tym nowym obowiązkiem, niemieszkanie, duszą tego nowego rządu pozostał. Zdawałoby się, iż, od tego czasu powziął był zamysł odosobnienia się całkowitego, który następnie i uiścił; albowiem nietylko, iż zerwał wszelkie stosunki z rzeczą-pospolitą argentyńską, lecz wzbronił się najmniejszego dostarczyć kontyngensu, w żołnierzach, przeciwko władzy hiszpańskiéj, oraz wyprawić, choćby jednego deputowanego na rozmaite kongressa, które się

dla roztrząsania kwestyj rządowych, względem nowego stanu rzeczy zbierały. Charaktery jego kollegów, ludzi oddanych roskoszóm, których jedyném zatrudnieniem było, pohamować rumaka nieunoszonego, rzucić zręcznie *lasso* i okazać się trefnym i ochoczym biesiadnikiem, wśrzód kraju, na łup nędzy z bezrządem, wydanego, przedziwnie, dumnym jego widokóm, dopomagał. Francia kusił się o wstrzymanie tego potoku, ale nadaremnie. W zdarzeniach wielu udając, iż rospaczał względem ocalenia państwa, usuwał się od spraw publicznych i mieszkał na wsi; ale do ich biegu obecność jego tak była potrzebną, iż kolledzy kwapiąc się z wezwaniem jego, zgadzać się musieli na wszystko, czego tylko w humorze swoim despotycznym od nich wymagał.

Tymczasem, kiedy się położenie kraju, co raz bardziéj, ode dnia do dnia pogorszało, wszystkie, w nim stronnictwa, za wspolną zgodą, potrzebę odmiany bezpośrzedniéj w rządzie uznały. Skąd wynikło, iż junta rozwiązaną została, a kongres nanowo

zwołany. Chodziło o przestrojenie nanowo rządowéj budowy: lecz wiele tu było zachodu kłopotliwego, chciano albowiem rzeczypospolitéj, a naczelnicy poruszenia rewolucyjnego, nie pojmowali bynajmniéj, co to była organizacyja republikańska. W téj niewiadomości powszechnéj, radzono się historyi starożytnéj Rollin'a, która jedyną może dobrą książką była w całym tym kraju. Natychmiast głowy się zapaliły, a zgromadzenie ujęte nagłą żądzą rządu konsularnego uchwaliło zwalenie senatu, a kierunek spraw, dwóm konsulóm, na rok jeden mianowanym poruczyło. Tymi więc konsulami zostali Fulgentio Yegros exprezydent junty i doktor Francia. Paragwajczykowie nawykli zginać karki przed dowolną chęcią najwyższego naczelnika, zapomnieli określić władzę konsulów, i granicę ich powadze naznaczyć. W dniu samym installacyi dwóch najwyższych urzędników, Francia dał poznać, jakie miejsce, swojemu kolledze, w sprawowaniu władzy, chciał naznaczyć. Przygotowano dwa krzesła naczelnicze, z których

jedno, miano Cezara, drugie zaś Pompejusa nosiło: Francia zajął z nich piérwsze, a drugie zostawił Yegros'owi, który miał bydź Pompejusem tego *duumviratu*. Francia nie był człowiekiem z którymby się władzą podzielić można, a to imiennie nawet, zwłaszcza kolledze takiemu którym on pogardzał i którego stronnictwo było mu podejrzane; przetoż skoro się kongres zebrał nanowo w r. 1812, Francia, żeby wysadzić swojego przeciwnika, skłonił zgromadzenie do naśladowania sąsiedniego przykładu, powierzając jednemu tylko urzędnikowi sprawowanie władzy wykonawczéj: i żeby wiernym naśladowaniu Rzymian pozostać, wniósł, bez ogródki, jak jedyny sposób ocalenia rzeczy-pospolitéj, ustanowienie dyktatora. Nie trudno mu było wynieść się na to dostojeństwo przez większość głosów zawsze mu podległą, która, wreszcie do tego nowego tytułu, nie przywiązywała innego, nad gubernatorskie, znaczenia. Mianowany on został na trzy lata; kongres nadał mu tytuł *Excelencyi*, i tysiąc piastrów (45,000 fr.)

dochodu rocznego naznaczył. Summy téj dyktator część trzecią tylko przyjął, z przyczyny klęsk krajowych, i odtąd, na tym skromnym dochodzie stałecznie przestawał. Taki zaiste nakład na władzę, który ledwo jest dziewiątą cząstką dochodu prezydenta Stanów-Zjednoczonych.

Postawienie się doktora Francia na czele spraw publicznych, było hasłem przemiany zupełnéj w jego obyczajach. Zrzekł się zupełnie gry i kobiét, a surowością się godną pustelnika odznaczał. Ranek cały poświęcał na trudy rządowe, wieczorem zaś zamykał się dla czytania najlepszych autorów literatury francuzkiéj, któréj język jest jemu poufały; albowiem jest to niejako dziedzictwo jego rodziny. Nauki nadobne, historyja, geografija, matematyka, wszystko to społem go zatrudniało: a ponieważ medycyny w Paragwaju jest jeszcze stan dziecinny, zgłębiał dzieła Buchan'a Tissot'a, i na sobie samym doświadczał recept przez tych autorów wskazanych. Usilność ta jego naukowa, szczególniéj się na sztukę wojenną zwróciła, pojął

bowiém, że trwałość jego władzy tudzież bezpieczeństwo kraju, szczególniéj od organizacyi wojska zależały. Usiłował przeto powierzać stopnie wojenne ludzióm dla niego poświęconym i najściślejszą karność zaprowadzić. Po upłynieniu trzech lat jego dyktatury nowy się kongres zgromadził w r. 1817, na którym Francia, przez biegłe obroty, potrafił wybór na dyktatorstwo dożywotnie otrzymać. Doszedłszy wtedy celu swojéj dumy zrzucił maskę umiarkowania, którą się dotąd przysłaniał, i od tego czasu, bez żadnych zawad, czynów najgwałtowniejszéj tyranii domierzał. Ilekroć wyjechał konno, ludzi zbrojnych orszak otaczał jego, ci mieli rozkaz bić, bez miłosierdzia wszystkich, którzyby się, w czasie przejazdu dyktatorskiego na ulicy ukazali. Karał więzieniem i kajdanami najmniejszą obrazę. Dwaj zakonnicy hiszpańscy szyderczej srogości jego doświadczyli; wtrącił ich, bez żadnéj formy sądowéj do więzienia, rozkazawszy piérwéj ogolić głowy, dla przysposobienia, jak powiadał, do przyjęcia korony uwielbienia.

W lat kilka, po swojém wyniesieniu się, na uśmierzenie zamięszania, jakie się w państwach jego ukazało, dyktator użył sposobu osobliwszego który warto jest opisać. Postanowił, iż kraj cały odtąd, według zasad demokratycznych rządzony będzie; że się złoży kongres z tysiąca deputowanych, mających się wybrać ze wszystkich klass obywateli, którzyby sprawowali władzę państwa, nadając mu nową formę rządu. Odbyły się przeto wybory, a członkóm mianowanym udadź się potrzeba było do *Wniebowzięcia*, gdzie po przemówieniu Francii, do dzieła swego przystąpili. Po upłynieniu trzech dni, bez żadnéj zapłaty i najmniejszego, jakiegobądźkolwiek wynagrodzenia, rozmyślili się oni nad szkodami, jakie, koniecznie, ich nieobecność, w gospodarstwie zrządzićby musiała; udali się przeto wszyscy do dyktatora, składając w jego ręce władzę najwyższą, wraz z oświadczeniem, iż systemat rządów jego zupełnie im był dogodny, i prosząc pozwolenia powrotu do domów. Przebiegły tyran pokrywając radość, któréj z powodze-

nia swojéj kombinacyi doznawał, odpowiedział, iż się zgadza na to, zostawując wszakże sobie prawo zwołania ich nanowo, którego użyje w przyszłości, jeżeli tylko skargi jakowe dójdą do niego, a w takim razie, przynajmniéj sześciomiesięcznych sessyj powinni się spodziéwać.

Po niejakim właśnie czasie od téj mistyfikacyi, nasi dwaj wędrownicy Szwajcarowie *Wniebowzięcie* zwiedzili. Szczegóły widzenia się ich z dyktatorem, wiele w sobie interesu zawiérają. Posłuchajmy jednego z nich opowiadania. „Doktor Francia powiada Reugger, wydatnym jest przez regularność rysów swojéj twarzy tudzież przez wyraz fizyognomii, którą wielkie jego czarne oczy ożywiają, co jest charakterystyczném krajów Ameryki południowéj znamieniem. Postawa jego, zmięszanie chytrości wraz z niedowierzaniem wydawała. Przyodziany był w ubiór jenerała hiszpańskiego, na wszystkich szwach mający hafty. Chociaż miał już sześćdziesiąt dwa lata, zdawało się, iż zaledwo w pięćdziesiątym był roku. Obrócił do mnie mowę

z nadstawnością wyszukaną; lecz postrzegłszy, że jego natarczywa apostrofa bynajmniéj mię nie ustraszyła, ton odmienić musiał. Otwiérając mą tękę, dla wydobycia z niéj papiérów, które miałem do okazania jemu, umyślnie na widoku, portret Bonapartego położyłem. Wiedziałem bowiém jakiém on podziwieniem tchnął dla oryginału. Porwał go ukwapliwie i długo o bohatyrze francuzkim, w którego wpatrywał się wizerunek, rozprawiał. Rozpoczął potém poufałą rozmowę o stanie politycznym Europy, zasięgał ode mnie nowin względem Hiszpanii, dla któréj nienajżyczliwszémi uczuciami oddycha. Karta udzielona Francuzóm, przez Ludwika XVIII. do smaku mu nie przypadała; przenosił on nad nię, rząd wojenny tudzież podboje, Napoleona. Pokazał nam swoję biblijotekę która jest jedna i jedyna tylko w całym Paragwaju: zawiéra ona w sobie, pomiędzy naczelnémi dziéłami literatury hiszpańskiéj, Wolter'a, Russ'a, Reynal'a, historyje poczciwego Rollin'a, tudzież mechanikę niebieską Laplas'a (*La-*

place) miał także niektóre instrumenta do matematyki, globy i karty geograficzne. Współrodacy jego, w swojéj prostocie, widząc zwracającego wejrzenia na te globy, wyobrażali sobie, że ich dyktator w gwiazdach czytał; ale Francia zdawał się więcéj mieć chęci do oświecania, aniżeli do utrzymywania ich nieuctwa, dla ciągnienia pewniejszych z łatwowierności zysków. Żegnając nas z uprzejmością dodał: „Możecie przebywać tutaj swobodnie, wyznawać taką religiją, jaka dla was przyzwoita, lecz się do mojego rządu nie wtrącajcie."

Nowe nabory wojska które dyktator, w téj epoce krytycznéj zgromadził, ażeby siłę swą zbrojną na stopie dostojnéj postawić, miały koszary swoje w klasztorze świętego Franciszka. Postępek ten który się wydawał świętokradzkim, poruszył żółć w pewnym Hiszpanie, z czystego katolickiego rodu; ten już nie mógł wytrzymać ażeby nie zawołał: „Franciszkani są zniszczeni, to prawda, ale i Francia swojéj się kolei nie zadługo doczeka." Słowa te doniesione były dyktatorowi,

który kazał stawić przed sobą nierozważnego Hiszpana.—„Nie wiém, rzekł, kiedy się ja, w podróż niepowrótną, odprawię, ale tego jestem pewny, że ty mię do niéj uprzedzisz.“ Jakoż, w rzeczy saméj ten nieszczęśliwy został natychmiast wydany na stracenie, a majętności i wszelką jego własność skonfiskowano. Groza, systematycznie zaprowadzona była, jako śrzodek rządowy; surowość dyktatorska padała nade wszystko na Hiszpanów, których on tracił bez miłosierdzia, a których bogactwa skarbiec jego publiczny napełniały. Exekucyje podobne, w oczach jego dwoistą w sobie zawiérały korzyść, zmuszały one do szanowania jego powagi oraz przynosiły ulgę ludowi, zmniejszając poborów utrudzające brzemie. Odbywały się one pod oknami jego pałacu, i nigdy nie uchybił, ażeby im nie był obecny: dla oszczędzenia kul i prochu, nie więcéj jak trzech żołnierzy dokonywało exekucyi, a jeżeli ofiara nieszczęśliwa była tylko raniona, resztę sztychy bagnetów kończyły. W pośrzodku tych scen srogiego okrucieństwa,

dyktator nie przestawał zajmować się dobrem i pomyślnością swojego kraju; albowiem surowość jego, nie miała na celu przepędzenie tylko barbarzyńskie czasu, ale energiczne liczenie choroby, głęboko zakorzenionéj. Tegoż samego roku, zaradził on głodowi, któryby na okropności najstraszliwsze kraj cały wystawił: gdy bowiém wszystkie plony, chmury szarańczy wyżarły, miał on przedziwną przytomność umysłu, zasiew zboża nanowo zalecić, a ten śrzodek najpomyślniejszy skutek uwieńczył.

Podczas kiedy Francia działa statecznie, dokonywając swojego zamysłu odosobnienia i zupełnéj niepodległości Paragwaju, używając wszelkich śrzodków, których mu nieograniczona władza jego dopuszcza, pomyślność wewnętrzna kraju zdaje się systemat administracyi jego usprawiedliwiać Rolnictwo zaniedbane aż dotąd codziennie nowe postępy czyni; zboża rozmaite gatunki, świéżo wprowadzone okrywają już powierzchnią Paragwaju. Mieszkańcy przywiązani do roli surowémi prawami sprzeciwiającémi się ich

skłonności do emigracyi, ziemię oddawna jałową z zapałem uprawiają. Przemysł który musi wystarczać wszystkim potrzebóm kraju, od czasu kiedy ten zamknięty został przed handlem zewnętrznym, codziennie się z co raz nową pomyślnością, rozwija. Groza i tu jeszcze jest sprężyną najdzielniejszą która téj czynności przewodniczy; rękodzielnicy niezdatni albo téż leniwi podobnie jak winowajcy karani bywają. Szubienica wzniesiona w pobliżu pomieszkania dyktatorskiego, wymownie przeciwko próżniactwu i niezdatności każe. Biédny krawiec zagrożony był zawiśnięciem na niéj bez ogródki, dla tego tylko że coś w zrobieniu pasa uchybił; a w inném zdarzeniu, ślósarz za wydrylowanie nie w miejscu zapału w dziale, na ciężkie roboty skazany został. Takim to sposobem dyktator reformuje, przez postrach kaźni, obyczaje ludu niedołężnego i płochego razem. Ta straszliwa sankcyja prawu tyczącemu się pracy nadana, nie zgadza się bynajmniéj z naukami nowoczesnémi względem wolności indywidualnéj; ale doktor Francia jest

prawodawcą szkół starożytnych; do Likurg'a się on, Drakona i Sylli przywiązał.

Rząd ten postrachu i grozy szczególniéj charakter mieszkańców przeistoczył. Posępna nieufność, miejsce wesołéj otwartości, która ich była znamieniem, zajęła: ich *tertulias* opustoszały; gitara smutnie na ścianie pomieszkań zawisła; i *alameda* nie jest już świadkiem ożywionych zabaw i odpowiedzi dowcipnych młodych, z czarnémi oczyma, kreolek. Gniew na jednę osobę, całe jéj rodzeństwo do zguby wtrąca, systemat który panuje w stolicy, rozciąga się na prowincyje że srogością niesłychaną; lecz ażeby zapewnić jego powodzenie i jak najbardziéj go upowszechnić, dyktator przed wszystkiém dawnych Hiszpanów ściga. Głęboki polityk, pojmuje dostatecznie, że stronnicy dawnego stanu rzeczy największą są przekazą nowemu porządkowi, i że, dla zainteresowania ludu na swoję stronę, potrzeba mu dadź udział w zdobyczach ze zwyciężonych. W czerwcu 1821 r. rozkazał on nagle wszystkim Hisz-

panóm, przebywającym we *Wniebowzięciu* zgromadzić się w pałacu rządowym w przeciągu trzech godzin. Stawili się oni w liczbie trzechset, i natychmiast do więzienia odprowadzeni zostali, gdzie ich po pięćdziesiąt natłoczono do izb ciasnych o jednych drzwiach i o jedném okienku tylko, dla wpuszczenia powietrza i światła. Po wytrzymaniu ich, takim sposobem, przez czasu niejaki przeciąg, uwięzionych, Francia rozkazał wyswobodzenie ich okupić przez kontrybuciją 150,000 piastrów. Takie zdzierstwa, do całkowitego zrujnowania rodzin hiszpańskich zmierzają a razem i do zniszczenia ich wpływu, jaki na resztę ludności przez wyższość bogactw swoich wywiérają; ale te srogie sposoby oburzają częstokroć prawość kreolów: wszelakoż poniżenie Hiszpanów uskuteczuia się sztucznie, a dyktator zmiérza do swojego celu, nietroszcząc się bynajmniéj o szemranie, jakie, pomiędzy témiż samémi wznieca których interesowi, ze statecznością nieubłaganą posługuje.

Odkrycie spisku, w największéj tajemnicy,

uknowanego, a którego osnowa bardzo się daleko rozciągała, wywołało surowość Francii, a w umyśle jego, z przyrodzenia nieufnym zrodziło nowe podejrzenia, które w krwawych gwałtownościach wybuchnęły. Przystęp do niego stał się nader trudnym, a wszędzie zdrajców tylko i konspiratorów upatrywał. Kiedy się koń jego raz przestraszył, na widok staréj, bez dna beczki, kazał natychmiast właściciela domu, przed którym się ta beczka znajdowała uwięzić. Ten spisek wyszedł wszakże na korzyść wszystkich, albowiem nastręczył sposobność dyktatorowi niszczenia przedsięwzięcia oddawna ułożonego. Ponieważ spiskowi opiérali swoje rachuby na ulicach miasta ciasnych i krętych, od których miało zależeć powodzenie uknowanego przez nich morderstwa, postanowił on przeto, iż *Wniebowzięcie* ma bydź zburzone i odbudowane, według nowego planu, który własną nakréślił ręką. Jego powaga tak jest wielowładna, iż ten dekret bez oporu spełnionym został. Wszystkie klassy mieszkańców przyłożyły ręki do tego nieźmier-

nego dzieła; i wkrótce, na zwaliskach domów niezdrowych i niekształtnych, wzniosło się, jakby przez siłę czarodziejską, miasto nowe, znamienite szérokiémi i prostémi ulicami, oraz budynkami, prostotą połączoną z wytwornością zaleconémi. Podobna jest do prawdy, że przez naturalny bieg wypadków, improwizowane to miasto, w stolicę się potężnéj rzeczypospolitéj zamieni. Te powodzenia dyktatora, przyprowadziły go do uczuć więcéj tchnących ludzkością. Zwolnił nieco jarzma którém swoich współobywateli przygniatał. Samobójstwo sekretarza, jego ulubieńca, żywo go dotknęło, i przyczyniło się, bez wątpliwości, do pożądanéj zmiany, jaka w charakterze jego nastąpiła. Wszelakoż, chociaż systemat powszechnéj grozy został umiarkowany, przystęp jego choroby sprowadzał od czasu do czasu, zgubne przesilenia. W jednéj z chwil takich, rozkazał żołnierzowi stojącemu na straży, przy jego pomieszkaniu, strzelać do każdego, ktobykolwiek zwrócił oczy w stronę jego pałacu i dodał, pokazując mu pistolet nabity:

„Jeżeli ty będziesz ich chybiał ja ciebie nie chybię.“ Rozkaz ten rozsiał powszechną trwogę i smutek po całém mieście; wszyscy ci którzy byli przymuszeni przechodzić tamtędy, mijali pałac ze spuszczoną głową i z oczyma w ziemię wlepionémi.

Zaledwo imaginacyja wystawić sobie zdoła okropny stan więzień we *Wniebowzięciu*, podczas perijodu wzrastającéj tyranii dyktatora. Indyjanie, Mulaty, biali i czarni, wszyscy natłoczeni byli, bez różnicy dostojeństw i zbrodni, w tym przysionku grobowym: skazani na śmierć i oskarżeni, rozbojnicy i patryoci, mordercy i dłużnicy niewypłatni, wszyscy jednostajnéj srogości byli podlegli. Białogłowy, słabą tylko przegrodą od innych więźniów oddzielone były; a widok jaki wystawiała ich komnata był jeszcze ohydniejszym. Młode kobiéty przybrane we wszystkie powaby świéżego zdrowia, niewinności i wdzięków, znajdowały się tam z najnikczemniejszémi stworzeniami pomięszane, wystawione na urągowisko płci drugiéj i zarówno jak mężczyzni, obciążone kajdanami;

brzemienność nawet nie dostępowała najmniejszéj ulgi, w tych srogościach. Wszelakoż, doli tych nieszczęśliwych, jeszczeby więźnie stanu, przedmiot uprzywilejowany nienawiści dyktatorskiéj, pozazdrościć mogli. Nazbyt długo, i z zawielkim wstrętem byłoby wchodzić w szczegóły téj obmierzłéj tyranii: dosyć powiedzieć, że policyja jest urządzona ze sztuką tak przebiegłą, iż nic niespokojnéj jego baczności wymknąć się nie zdoła, i że sprężyny téj machiny, zostawują daleko za sobą w tyle, wszystkie te które straszliwy trybunał inkwizycyi państw weneckich wynalazł.

Wejdźmy teraz wewnątrz tego człowieka potężnego i dziwacznego, któremu się hańby zadadź chwiejemy, sam on albowiem, wpośrzód wstrząśnień wzruszających codziennie grunt Ameryki południowéj, znalazł tajemnicę utwierdzenia swojéj władzy, tudzież zabezpieczenia swojego kraju od konwulsyj wszystkiémi państwami sąsiedniémi miotających. Budowa, w któréj mieszka, wzniesiona została przez jezuitów, na czas krótki przed ich wygnaniem; jest to gmach dosyć

rozległy, który on wyporządzić, i od innych domów odosobnić rozkazał. Tam to żyje on w zupełnéj samotności, ze cztérema niewolnikami, negrem i trzema Mulatami, z których dwie są niewiasty, a z témi obchodzi on się bardzo łagodnie. Wschód słońca rzadko go w łóżku zostaje. Jak tylko z niego wychodzi, negr przynosi mu fajerkę, na któréj, w swéj obecności każe grzać wodę w garnku glinianym i sam swoję *matté* (*)

(*) Nazywają *matté* wywar z liści krzewu rosnącego w Paragwaju, którego aromat do herbaty się przybliża. Liście te znajome są pod imieniem *yerba* czyli herbata paragwajska. Używają jéj obficie w całéj Ameryce południowéj. Artykuł ten przed zupełném zniesieniem stosunków zewnętrznych Paragwaju, był dla tego kraju źrzódłem znacznych dochodów. Corocznie więcéj dwudziestu tysięcy pak jego wywożono, co wartości do 25,000,000 franków wyobrażało, ale od czasu jak dyktator Francia zupełnie zabronił jego wywozu, rolnicy z *Buenos-Ayres*, z Bandy-Wszodniéj i z Brezylii potrafili przyswoić do klimatu i uprawić pomyślnie tę roślinę na swoim gruncie.

dla siebie przysposabia; po wypiciu któréj przechadza się po galeryi paląc cygaro które piérwéj starannie rozwija, dla przeświadczenia się azali nie zawiéra w sobie jakiejś zgubnéj substancyi. Nigdy ostrożności podobnéj nie zaniedbywa, chociaż te cygara wychodzą z rąk siostry jego, która je sama robi (*). O godzinie szóstéj przybywa balwierz. Jest to Mulat brudny, ogałganiony, z professyi pijanica, z którym dyktator lubi sobie żartować, kiedy się w dobrym znajduje humorze, jak niegdyś Ludwik XI, ze swoim *Olivier-le-Daim*. Kiedy się ogoli, dają mu szlafrok, i w takim to ubiorze słucha on rozmaitych urzędników, w galeryi zewnętrznéj, która na około budynku panuje. O siódméj godzinie udaje się do swojego gabinetu i tam aż do dziewiątéj przebywa. Od jedénastéj aż do dwunastéj godziny dyktuje rozkazy swojemu sekretarzowi, a potém odprawia wszystkich swoich oficerów i pożywa skromny obiad którego przygotowanie sam

(*) Są to cygara papiérowe.

piérwéj rozporządził; albowiem zawsze za powrotem z rynku, kucharka stawia przede drzwiami swojego pana wszystko to co kupiła, on zaś odkłada na stronę to co dla siebie zgodném uznawa. Po obiedzie wypoczywa, pije *matté* i pali cygaro, te rozmaite zatrudnienia zajmują go aż do godziny szpaceru. O czwartéj godzinie przybywa eskorta, i w czasie kiedy siodłają konia, balwierz urządza mu włosy na głowie. Podczas tych przejażdżek zwiedza on zwykle roboty publiczne. Przejeżdża się otoczony naokoło liczną eskortą, sam szablą i parą pistoletów zbrojny. Powraca o zmroku, i zamknięty oddaje się zatrudnieniom naukowym, aż do dziewiątéj godziny. Pożywa wtenczas lekką wieczerzę, i jeżeli czas jest pogodny, znowu się, po galeryi zewnętrznéj przechadza. O dziesiątéj godzinie wydaje hasła nocne, wraca potém do siebie, sam wszystkie drzwi warownie zamykając.

Przez kilka miesięcy w roku przebywa w koszarach kawaleryi i oddaje się myśliwstwu, dla przerwania cokolwiek jednostaj-

ści swojego bytu. Chowa zawsze pistolety nabite, pod poduszkami swojego posłania; w każdym zaś kącie izby wisi szabla wyjęta z pokrowca. Na posłuchaniach które daje, zostawać potrzeba w oddaleniu pewném z ramionami ściśle przytulonémi do ciała i z otwartémi dłoniami. Reugger donosi, że przy piérwszém jego posłuchaniu, nie wiedząc o tém dziwaczném haśle, przystąpił ku dyktatorowi z ramionami odstającémi od ciała, kiedy ten zapytał go się z żywością, azali nie miał zamysłu dobydź sztyletu z kieszeni? Przy rozpoczęciu rozmowy, stara się zastraszyć tego kto się przed nim stawi, lecz jeżeli się on trzyma odważnie wnet najuprzejmiejszy ton przybiéra. W takich to właśnie zdarzeniach, całą on zamożność umysłu swojego rozwija; z największą bystrością o najrozmaitszych przedmiotach rozprawia, i niemniéj przestworem, jak rozmaitością nauk swoich zdumiewa. Szydzi chętnie z przesądnych zabobonności swoich współrodaków, a nade wszystko z łatwego ich wierzenia, tudzież słuchania duchownych; nie-

nawiść przeciwko którym od niewielu lat datuje. Na początku bowiem swojego zawodu politycznego słuchał on co dzień mszy regularnie; lecz w r. 1820 odprawił swojego kapelana, i od téj epoki otwarcie przeciwko wyznaniu katolickiemu występuje.

W gwałtownych przystępach swojéj choroby, zupełnie się niekiedy, przez dni kilka od spraw publicznych usuwa; zamyka się i swój zły humor na domowników wywiéra. Uważano, iż uwięzienia wtedy są częstsze i surowsze kaźni. Stan atmosfery, na kierunek wyobrażeń jego wpływa: kiedy panuje *sirocco*, drażliwość jego nerwów, popycha go do czynów okrutnych; kiedy, przeciwnie, wieje wiatr zachodni; charakter jego w ochoczy i rozweselony przechodzi, wtenczas to spiéwa i żartuje z tymi wszystkimi którzy go otaczają. Wreszcie wady jego charakteru podejrzliwego, mnóstwa szacownych przymiotów nagradza: hojny i bezinteresowny, rozrzuca własne pieniądze równie jak oszczędza grosz publiczny. Wyniesienie się na władzę najwyższą, nie pomnożyło bynajmniéj jego

fortuny osobistéj, żadnych nie przyjmuje podarków, i nic bynajmniéj nie bierze ze skarbu publicznego, który zawsze mu się dłużnym zostaje. Wdzięczność nawet nie jest obcą dla jego serca. Dowiedziawszy się, że syn rodziny, z którą on wiele miał stosunków podczas pobytu swojego w Kordubie, znajdował się we *Wniebowzięciu*, przywiedziony do stanu prawie rospaczy z niedostatków, zapłacił jego długi, samego zaś wziął do siebie za sekretarza. Ale w rzeczy tyczącéj się jego powagi, żadnych rodzinnych związków nie uznawa. Przetoż dwóm swoim synowcóm odebrał dowodztwo wojskowe, z tego jedynie względu, ażeby u nich względy na pokrewieństwo z dyktatorem, karności nie wadziły. Odjął także swojéj siostrze, jedynéj istocie, dla któréj ma niejakąś tkliwość, kierunek majętności swojéj, za to że użyła policyjnego agenta do ukarania niewolnika zbiega. Zawistny aż do zbytku swojéj powagi, niezdolny doznawać ani téż natchnąć współczucia, odosobniony, podobnie jak kraj którym zarządza, jeżeli doktor Francia nie ujdzie przezna-

czenia które zwykle tyranów ugadza, umrze on dostojnie, ale samotnie; w upadku swoim nawet może jeszcze natchnąć podziwienie, lecz ani żalu, ani politowania nie obudzi.

Kiedy zwrócimy bezstronne oko, na zawód, dosyć już długi dyktatora Francia, i ocenimy ważność wypadków które otrzymał, zostawując w cieniu grubijańską energiją sposobów i śrzodków, nie wzbronimy się uznać w nim potężnego genijuszu. Zachował on swój naród od anarchii osuszającéj źrzódła pomyślności publicznéj, w całéj Ameryce południowéj. Groza wprawdzie była sprężyną jego polityki, ale to tylko wędzidło mogło pohamować tych pyszałków pospolitych, tych ludzi drapieżnych i niesytych łupu, którzy we władzy nic prócz śrzodka pomnożenia własnéj fortuny nie widzą. Krainy sąsiednie Paragwaju, smutny jeszcze tego przykład wystawują; albowiem wszystkie usiłowania fakcyj są rzeczywiście zwrócone na skarb publiczny: stronnictwa następują szybko jedne po drugich na władzę, a ponieważ

z nich żadne nie jest ożywione miłością dobra publicznego, każde zaś zatrudnia się własnémi swojémi sprawami, zamiast myślenia o krajowych, lud żadnego nie ma udziału w tych sporach, które się pomiędzy małą liczbą intrygantów i zwiedzionych poczciwców ułatwiają; czynność ich bądź samolubna bądź głupowata, utrzymuje gorączkę, która przez częste swoje powroty, ostatek życia społecznego wycieńcza. Doktorowi Francia dostała się sława zrozumienia dostatecznie, że wszelkie kuszenia się o liberalną organizacyją z góry były naganne, przez samę naturę piérwiastków ciała towarzyskiego; widział on, że porządek nie może powstać z dania wolnego popędu nieuctwu i niemoralności; pod zasłoną grozy jaką wraża, bez wytchnienia nad odrodzeniem indywiduow pracuje, i jeżeli mu się uda przeniknąć umysły nałogami porządku, i pracowitéj karności, która już się jawnie obwieszcza, Paragwaj niewątpliwie przyjdzie do swobody przez tak twarde doświadczenie, a konstytucyja dzielna, jaką będzie winien temu nowi-

cyjałowi surowemu, uczyni zeń w niedalekiéj przyszłości punkt śrzodkowy i wzór cywilizacyi amerykańskiéj.

(*Monthly Magazin.*)

ROZMAITOŚCI.

Q. Horatii flacci carmina recensuit P. Hofman Peerlkamp. — 1 vol. in 8vo. — Harlemi 1834. —

Taki napis nosi nowe to wydanie poezyj Horacyusza, o którém podana jest wiadomość w *Bibliothèque Universelle*, w miesiącu lutym r. ter. Pomimo tylu prac podejmowanych, mianowicie od początku przeszłego wieku, wciąż aż po dni nasze, około objaśnienia i naprawienia skażonego textu poety tego, nie można przeczyć, że wielki jeszcze w tém zawód do przebieżenia pozostał. Dla tego każde usiłowanie, chociażby w małéj cząstce odpowiadające oczekiwaniom uczonych, a naznaczone pracą, znajomością krytyki i charakteru pism wenuzyjskiego poety, jak szacowne jest dla czcicielów jego, tak ztąd jeszcze na wdzięczność zasługuje, że nowych około niego prac i badań staje się

podnietą, sławę oraz i imie nieśmiertelnego wieszcza, od czasu do czasu ożywiając i budząc. Używamy tego wyrażenia; nie bez żalu albowiem wynurzyć to nam przychodzi, że taki jest stan i położenie dzisiejszéj pięknéj literatury w powszechności, iż zrobiwszy prawie zupełny rozbrat z literaturą starożytną, dobrowolnie zakryła przed sobą i zasypała to źrzódło i bogatą minę, tak pożytecznie niegdyś wyrabianą Taka zaś w tém jest obojętność belletrystów naszych, iż jedni nie tylko bez niéj snadnie się obchodzą, ale nie myślą nawet co zacz jest, i czyli była kiedy jaka; inni znowu, co na gorsze jeszcze prawie wychodzi, na bardzo powierzchownéj dat i imion niektórych wiadomości przestając, wnet roszczą sobie i przyswajają prawa pewne i prerogatywy w państwie naukowém, rządzenia i ważenia czasów i rzeczy. Wszakże nie idzie tu, już o ślepe i niewolnicze pisarzów starożytnych naśladowanie, ani zawarodza temu cokolwiek, aby literatura nowożytna, sama przez się w nowym swym postępie i dążeniu wzrastać nie mogła, nie idzie nawet o wdzięczność i pamięć zaciągnionego dla dawnych swych mistrzów i nauczycielów długu, ale idzie o przyswojenie pismóm nowożytnym, przymiotów i zalet, od klassycznych literatury starożytnéj płodów nieodłącznych, których nie inaczéj jak pilném a pracowitém od lat młodocianych pisarzów tych czytaniem, i uważném śledzeniem przyczyn ich wartości, osiągnąć można. Idzie

nadto o nadanie już literaturze nowożytnéj praw, przyswojenia i zastosowania prawideł krytyki filologicznéj, nauki która dzięki uczonym nowszych wieków, tak nagłe względnie do literatury starożytnéj postępy uczyniła i tak ważne dla jéj sprawy położyła zasługi, początek swój i nastanie bogactwóm jéj całkowicie winna będąc. Ile wczesne zaprawienie się na wzorach starożytnych, ku zjednaniu pomienionych korzyści pomocą i bodźcem bydź może, nie tu jest miejsce obszérnie o tém mówić; ile znowu zarzucenie ich i zapomnienie, a ztąd brak śrzodków usposobienia się, nieprzygotowanie głów do badań tego rodzaju, a ztąd zaniedbanie się i lekkomyślność piszących, do poniżenia nowoczesnéj literatury i cofnienia jéj postępu się przyczynia, o témbyśmy i mówić nie skończyli. Cóż, kiedy niéraz dzisiaj ci, co na straży pamiątek dawnych postawieni, kapłanami się ich mianując, ich lekceważenia i poniewierki, gorszącym stają się przykładem?

Owoż professor Lejdejski P. Peerlkamp, od lat młodocianych jak sam opowiada, zamiłowawszy poezye Horacyusza, wyłącznéj około nich pracy i badaniom się poświęcił odtąd, jak z obowiązku publicznego nauczycielstwa, słuchaczóm swoim poetę tego czytać i wykładać począł. Ale wnet napotkał on tu wielkie i nieprzełamane trudności ku zrozumieniu wielu miejsc poety i tych pominio wszelkie jakie miał pod ręką po-

mocy przezwyciężyć nie zdołał(*). „Jakażby tego, zapytuje się on sam siebie, przyczyna bydź mogła? czyli brak jasności w pisarzu? ale przecież nie jest to przywara o którąby godziło się obwiniać, wielkich poetów Rzymu, a Horacyusz jest od niéj przed innymi wolniejszym, jak świadczy sam Swetonijusz. Czyli własna moja nieumiejętność? ale ja nie jestem piérwszy com się wziął do rozwiązywania tych trudności; przede mną więcéj pięciuset innych usiłowało je usunąć, a przecież nie znajduję w ich pracach jakkolwiek uczonych, coby mię zaspokoić mogło. Jeśli więc twierdzić nie można że Horacyusz jest ciemny; ani, że jego wykładaczóm brakło na potrzebnéj nauce, nie może bydź co innego jak to, że text poety jaki posiadamy zepsuty bydź musi. Ale i to jeszcze mówi daléj, nie jest ścisłą prawdą, ponieważ w tych miejscach które mam szczególniéj na względzie, język łaciński jest dobry, ani trudność z niejednostajności textu pochodzi. Kiedy zatém początek zawikłania, nie jest ani w pisarzu, ani w czytającym, ani w zepsuciu textu, nie należałożby jéj

---

(*) *Et hoc mihi inprimis injucundum et triste accidebat, quod quamvis nonnulla ita me illustravisse putarem, ut fortasse ab harum rerum intelligentibus probarentur, plura tamen remanebant, quae me semper morarentur. Quidquid agerem et tentarem, omnia erant ingrata et irrita. Nihil non movi, promovi nihil.*

szukać w podejrzanych wiérszach niektórych które dosyć byłoby *okrzesać*, aby powrócić Horacyuszowi rodowitą jego jasność (*).“ Nie wdając się w to, ile to rozumowanie P. Peerlkamp zawiera w sobie ścisłości i prawdy, czyli rozróżnił dostatecznie wydawca, co może bydź winą niejasności textu, co nieudolności rozumienia poety; czyli Horacyusz który mógł bydź bardzo jasny i zrozumiały dla czasów w których poezye swoje ogłaszał, a nawet dla czasów Swetonijusza, nie może bydź z pewnego względu niezrozumiały dla nas, żyjących na lat blisko dwa tysiące po nim; czyli pojedyńczy ten cel zamierzony zrozumienia starożytnego autora, będąc czysto spekulacyjnym, a tém wyłącznie zda się bydź zajęty wydawca, nie scieśnił poniekąd widoków jego, krytycznie, a zatém bardzo wielostronnie text poety roztrząsać mającego, i czyli mógł mu usłużyć zupełnie, do wniknienia weń i żywego przejęcia się jego duchem, jak się tém pochwala P. P. (**) czyli nakoniec i jak wiele korzystał on z prac poprzedników swoich, nie mając bowiem dzieła samego pod ręką, sądu o tém

---

(*) *Ne serait-elle point (la difficulté) dans la supposition de certains vers qu'il suffirait d'élaguer, pour rendre à Horace sa clarté native.* T k recenzent myśl wydawcy określa.

(**) *Horatium ut digitos novi, Horatium in succum et sanguinem converti, cum scriptoribus graecis et romanis comparavi.*

dadź nie możemy. Krótką tylko zastanowimy uwagę nad ostatnim wnioskiem, jaki z ciągu tego myśli wyprowadził i sposobem nowym jaki ku oczyszczaniu textu pisarzów starożytnych, ku naśladowaniu otwiérać się zdaje.

Nie ma zaiste wątpliwości, że tak jak wielu innych znakomitych Rzymu poetów, tak i pisma Horacyusza, w przeciągu wieków, ulegały wielorakiemu skażeniu i zepsuciu, przez co trudno wyrazić ile ozdoba ich i jasność ucierpiała. Są tego ślady u nich aż nadto pospolite, że jak niektóre sztuki w całkowitości, zupełnie poetóm tym obce, bądź z umysłu, bądź przez niedbałość piszących w skład ich dzisiejszy weszły, tak znowu pojedyńcze wyrazy, wiérsze, zdania całkowite, bądź zamienione, bądź żywcem wtrącone, rodowity stan poezyj tych zmięszały i zmąciły. Rzeczą zapewne jest udoskonalonéj krytyki, interpolacyje takowe na jaw wydadź, z nich text autora oswobodzić; wszakże pomimo prób niektórych szczęśliwych, wyznać potrzeba, że tego rodzaju praca, nieprzeliczonym, a nieraz i niepodobnym do przełamania ulega trudnościóm, takowe bowiem w texcie odmiany, do nader rozmaitych przyczyn i czasów należąc, do rozmaitych, a rozmaitego i częstokroć całém niebem odmiennego usposobienia autorów, aby je dostrzedz z pewnością, oznaczyć, oddzielić, więcéj niżeli ostrowidza bystrości potrzeba, cóż, aby je dobrém prawem z kontextu usunąć? Przydadź do tego i to należy, że i w naj-

celniejszych starożytności produkcyjach, jak z jednéj strony nieraz napotykać się dają miejsca i myśli wartości bardzo miernéj, którychbyśmy w nich zgoła nie żałowali, którebyśmy lubo obelem Aristarcha nietknięte, przez miłość jednak dla autora, pomówić byli radzi; tak z drugiéj, nie jednemu z komentatorów, grammatyków, czy jak ich tam inaczéj nazwać zechcemy, powieśdź się mogło i rzeczywiście powiodło się, coś niezupełnie niegodnego autora na którym noty swoje lub przypiski czynili, utworzyć, a co także do jego kontextu niejednokrotnie się zamięszało. Jakże tu granicę pewną między jednémi a drugiémi położyć, jak je rozpoznać, jak na żadnym pewnym gruncie nie będąc opartym, dobrém sumieniem, bez obawy naruszenia textu oryginalnego, z nich autora pozbawiać? Musi jak we wszystkiém tak i tutaj bydź powinien kres działaniu, za który daléj posunąć się nie godzi; jest nareszcie pewna cześć i poszanowanie rzeczy dawnych, jeśli skądinąd żadnych oczywistych cech fałszu na sobie nie wykazują. Są to jako skazy i szczerby na orężach i zbrojach dawnych, których gluzować się nie ważymy, jako medale lub pieniądze obcém piętnem oznaczone (*numi contrasignati*) które po gabinetach numizmatycznych chowamy. Przez tę to cześć i religijną obawę, naruszenia bynajmniéj pisarzów dawnego świata, krytycy piérwszego rzędu, zaledwo, i to z największą ostrożnością, tam gdzie świadectwo wszelkie

dawne ustaje, a samemu domysłowi i wnioskowaniu pole zostawione, ledwie w pojedyńczych głoskach i wyrazach, odmiany podawać się ważą, całych zdań i wiérszy prawie nigdy nie tykając, a i tu jeszcze śmiałość wszelka, nieraz surową na krytyka najbieglejszego, jak *np.* Bentley'a naganę ściągnęła. Tą czcią powodowany jeden z największych filologów i krytyków wieku ostatniego, Tyberyusz Hemsterhuis, podając prawidła krytyki filologicznéj, najsurowiéj zastrzegł, aby w tych miejscach starożytnych, których uleczenia, wszelka nadzieja znikła, zaradzenie raczéj czasowi zostawić, a niżeli jakiekolwiek wprowadzać odmiany, któreby wnet kodexów powagą wsparte bydź nie mogły (*).

Innéj zupełnie a wbrew przeciwnéj drogi i sposobu, zdało się jąć P. Peerlkamp, który nie tylko ze wszystkich dawniejszych najmniéj umiarkowanych krytyków Horacyusza w wytykaniu interpolacyi do textu jego zamięszanych, Gujeta nie wyjmując, daleko przeszedł, ale nawet rękę swoję do dzieła posunął, a wierny założonemu przez się początkowi, że co tylko jest, albo wydało

(*) *In locis desperatis ubi nulla ratio esset difficultatis expediendae, medicinam ab integrioribus libris exspectandam et omnino nihil in contextu nisi vetustarum membranarum auctoritate movendum censebat.* (*Rhunkenii Opuscula, Elogium Hemsterhusii.*)

się niejasne P. P., co do textu Horacyusza zgoła należeć nie może, niemiłosiernym sposobem *okrzesał* go i obciął, niektóre ody całkowite ze swego wydania wyłączył, inne od początku, śrzodka i końca pookrawał, poamputował (*). Owszem jeśli mamy dadź wiarę recenzentowi, a dadź mu ją możemy, bo nieraz bardzo przyjaźnie dla wydawcy się odzywa, to najmniejsza grammatykalna zawiłość, brak spojenia i związku między wyrazami, dostateczną jest dla P. P. do podobnych operacyj pobudką i znoszenia jednym zamachem po dwadzieścia lub trzydzieści wiérszy najpiękniejszych. *Dictu horrendum et atrox!* Ucieszony dziełem, dumny z tylu trupów któremi się bezkarnie otoczył, przeto tylko pracę Bentley, a około Horacyusza za niedostatateczną uważa, że z pośpiechem będąc dokonana, nie przyszło mu podobnéj przysługi poecie wyrządzić. Mamy zaiste i my z czego się cieszyć, a to że P. Peerlkamp przecież nie przed wynalezieniem sztuki drukarskiéj, nie w czasach Acron'a lub Porphyrion'a się urodził, pewniebyśmy znaczną część poezyj Horacyusza w dezyderatach liczyli, a może ledwie z imienia o nim zasłyszeli. Biédny Horacy!

Żałujemy nie pomału że nie możemy

(*) *C'est un abates de vers, de strophes et de morceaux entiers;* słowa są recenzenta Genewskiego.

w szczegółach zdadź sprawy czytelnikóm naszym o całéj téj robocie professora lejdejskiego, że nie wiémy co po księgach Od, spotkało księgi Satyr i Listów. Z jednego wszakże przykładu przez recenzenta przytoczonego sądząc, a ten wedle niego do mistrzowskich dzieł wydawcy należy, wnieść łatwo, co się tam z Horacyuszem naszym dzieje! Jest to potężna owa Oda: *Jam satis terris* cett. (*), którą P. P. ni mniéj ni więcéj, jak o dwadzieścia pięć wiérszy, to jest o połowę *okrzesał* i tak w wydaniu swojém wydrukował. Cieszy się recenzent genewski

---

(*) Pomieszczamy ją tu tak jak się w wydaniu P. P. znajduje dla porównania z textem powszechnie znanym.

Jam satis terris nivis, atque dirae
Grandinis misit pater, et rubenti
Dextera sacras jaculatus arces
Terruit urbem.

Vidimus flavum Tiberim, retortis
Littore Etrusco violenter undis,
Ire dejectum monumenta regis,
Templaque Vestae.

Quem vocet divûm populus ruentis
Imperî rebus? Venias, precamur,
Nube candentes humeros amictus
Augur Apollo.

Sive tu mavis, Erycina ridens,
Sive neglectum genus et nepotes,
Heu nimis longo satiate ludo,
Respicis auctor.

z téj istnéj proby ognia dla Horacyusza, a tyle ma do tego pobudek, ileby miał znawca jaki sztuki malarskiéj, coby na obrazie pędzla Titian'a albo Raffael'a nagle kilka figur, tak po mistrzowsku zamalowanych zoczył, iżby ich ślad żaden nie pozostał, cieszy się że ta pozostałość, ta *quintessentia* Ody Horacyusza jest pełna, jasna, całkowita, słowem jedném prawdziwie Horacyuszowska, dla niéj wszystkie wyboczenia i zbytki zda się wydawcy zapominać, poddaje się pod jego klątwy, a sądząc całą rzecz nie już *de jure*, bo o to i kwestyi żadnéj nie ma, ale *de facto*, błaga wydawcy na klęczkach o przebaczenie kilku Odóm, którym rodowitości i krwi Horacyuszowéj P. P. odmówił, godząc się, wreszcie, na wszystko, byleby czytelnicy Horacyusza przystali i wyrzekli się tego, co on nanotował i nielitościwie powykréślał.

Sive mutata juvenem figura,
Ales, in terris imitaris, almae
Filius Majae, patiens vocari
Caesaris ultor:

Serus in coelum redeas, diuque
Laetus intersis populo Quirini;
Neve te nostris vitiis iniquum
Ocior aura

Tollat. Hic magnos potius triumphos,
Hic ames dici pater, atque princeps;
Neu sinas Medas equitare inultos
Te duce, Caesar.

Wreszcie, wszakże nie piérwszy jest P. P. co tym mniéj więcéj sposobem, autora swego obrabiał. Poprawiał niegdyś Lucilliusa, Cato, *male factos versus emendabat*, a Varius i Tucca, już się przybierali poemata Wirgilijusza po jego zgonie, z gruntu przerabiać, aż ich przeciwna wola i rozkaz Augusta od dopełnienia tego świętokradztwa nie wstrzymał. Co bądź, to bądź, trzeba aby P. P. choć po niewczasie wspomniał na to, że co do krytyki filolologicznéj, jéj znaczenia i stopnia który w rzędzie nauk zajmuje, wielka jast różnica czasów, Catonów, Variusów i Tucców, a czasów Casaubonów, Gronowijuszów, Burmannów, Valckenarów, Wesselingów, Hemsterhusiuszów. Ten ostatni odbywał w témże mieście kurs nauk, w którém P. Peerlkamp katedrę literatury starożytnéj zasiada; nie zawadzi przytoczyć tu zdanie jakie miał o krytykach niebacznych, nieumiejętnych, zuchwałych a bezczelnych: *Furorem indicabat quod non intelligas, statim urere et secare, amentiam aegri capitis somnia in contextum invehere, abolita veterum librorum scriptura. Nam si hoc modo grassari liceret, brevi futurum, ut calamitas quam Gothi et Vandali bonis libris importassent, prae hoc levis et tolerabilis videretur* (*).

(*) *Rhurhenii Opuscula l. c.*

— Dzieje starożytne narodu litewskiego przez Teodora Narbutta. — Tom I. Mitologija litewska, z óśmią rycinami. — Wilno — nakładem i drukiem A. Marcinowskiego. — 1835 in 8vo. stronic prócz regestru 482, wstępu stronic XV. na dobrym białym papiérze.

Dzieło niniejsze równy zaszczyt prawdziwie obywatelskiemu przedsięwzięciu autora, jako i wydawcy P. Marcinowskiemu przynoszące, w tak ważnym celu jest przedsięwzięte i tak wszystkich mieszkańców tutejszych prowincyj obchodzi, że nie możemy w naszém piśmie przestać na suchéj o niém wzmiance lub tylko powszedniéj pochwale. Wejrzyjmy głębiéj w tę książkę któréj wspaniały tytuł *Dziejów Starożytnych narodu Litewskiego*, obiecując więcéj niżelibyśmy mieli prawo wymagać od skromnych badań nad starożytnémi dziejami Litwy. Będziemy może nawet ściślejszémi i surowszémi w ich roztrząsaniu, bo takie nazwanie pracy autora pokazuje, że był pewnym w oddaniu czystéj i zupełnie już wyjaśnionéj historyi przez poprzednicze poszukiwania, nie tylko w kronikach ale i we wszystkich archiwach publicznych i prywatnych w kraju i za granicą, potém przez długoletnie rozważenie i ocenienie krytyczne materyjałów, oraz odłączenie prawdy od fałszu.

Cały ten piérwszy tom obszernéj pracy P. Narbutta składa się z wstępu i dwóch ksiąg traktujących o Mitologii Litewskiéj i o

rzeczach odnoszących się do niéj.—Następują prócz tego liczne dodatki, z których nie wszystkie należą zupełnie do głównego przedmiotu.

Chociaż nie sam jeden autor znalazł się na drodze badań dziejów litewskich, jak chce twierdzić na początku *Wstępu*, bo Naruszewicz, Bohusz i inni już odnowili znacznie jéj ślady po Stryjkowskim i Kojałowiczu; zasługa jego zawsze będzie niezmiernie wielka; gdyby tylko bowiem zgromadził w jedno te wiadomości o Litwie, które są rozrzucone po rozlicznych kronikach polskich, ruskich i niemieckich, i zebrał różne podania miejscowe, jużby się praca jego stała ważnym na przyszłość materijałem, do napisania prawdziwéj kiedyś historyi litewskiéj. I dla tego nie możemy dosyć uwielbić zamiarów autora i zachęcać go do wytrwałości w zaczętym zawodzie, a lubiących czytać do nabywania téj książki i pilnego jéj czytania; gdyż nie znać tego co się działo niegdyś na téj ziemi, na któréj mieszkamy i która nas żywi, jest haniebną oziębłością niegodną cywilizowanego człowieka. Słuszne jest mniemanie autora, że mitologija stanowi zasadę najodleglejszych dziejów: szkoda tylko, że litewska nie zdołała mu wskazać dostatecznie, jak to wkrótce zobaczymy, prawdziwego i najbliższego jéj źrzódła. Podobnież nic zarzucić nie możemy, temu zdrowemu zdaniu autora kiedy powiada: — „Nie goniłem się za ozdobnością

opisów, ani żadnych dodatków, uprzyjemniających rzeczy nie czyniłem: gdyż zmyślenia ozdobne leżą za przedziałem dziejów, tak jak to wszystko, co się udowodnić przyzwoitym sposobem nie pozwala.—" chociaż nie zawsze w ciągu dzieła stosował się do niego. Czytelnik od badacza jakim jest autor, gdyż dziejopisa Litwy nie możemy mieć jeszcze tak prędko, wymaga tylko prawdy i zręczności w poszukiwaniach, a jasności w wysłowieniu się dobrym grammatycznym językiem. Daléj w tymże samym wstępie wywodzi autor jaką koleją piérwiastkowe wyobrażenia religijne przeszły od ludów cywilizowanych Azyi i Afryki do Greków i Rzymian; zastanawia się nad ich obłąkaniem i przemianami jakim uległy; rzeczy skądinąd powszechnie wiadome, które autor sądził za potrzebną powtórzyć, a którebyśmy jednak chętnie zamienili na obszerniejszy i gruntowniejszy wywód zasad samych mitów litewskich. Temu bowiem ważnemu przedmiotowi zaledwo tylko parę kartek poświęcił. Z tego jednak lekkiego obejrzenia źrzódeł naszéj mitologii, pokazuje się że autor zamierzył wywieść, tak początki narodu litewskiego jako i jego dawnéj religii od Greków, że mu nawet pobratymstwo z Rzymianami naznaczył. Chociaż nie jesteśmy zupełnie równego z nim zdania, zostawując jednak pilne roztrząśnienie tego twierdzenia do wyjścia następnego tomu tego dzieła, nie możemy się wstrzymać od zrobienia mu jednéj uwagi.

Autor chcąc wyprowadzić *ab ovo* gniazdo Litwy, musi przejść cały labirynt migracyi ludów w baśniach kronikarskich z pochodnią prawdy historycznéj w dłoni. Jakże się trzeba uzbroić przezornością żeby nie wpaść w odmęt nieprzebyty przypuszczeń i domniemań bez końca, i żeby ta pochodnia przed wywikłaniem się nie zgasła. Życzymy autorowi żeby nas tak skwapliwie nie przerabiał na Greków, jak Voigt szacowny skądinąd historyk, pobratał z Niemcami. Jak to, że nasi przodkowie wchodzili w blizkie stosunki do dziewiątego wieku z Gotami, lub że ich jarzmo znosili, nie jest dostatecznym powodem, abyśmy od Niemców pochodzili, tak podobnie, dla tego, że *Perkunas* jest bogiem piorunu u Litwinów, jak *Jowisz* u Rzymian, lub że w języku litewskim kilkadziesiąt wyrazów podobnie znajdzie się zakończonych jak w łacińskim, nie koniecznie mamy bydź Rzymianami. Stryjkowski, Łasicki i Bohusz co do Żmudzi i Litwy właściwéj; Dusburg, Hartknoch, i Rhesa, a czasem i Voigt co do Prus; Naruszewicz, a niekiedy Czacki i Karamzin, co do Sławian; dykcyonarz Syrwida, rozprawa o starym języku pruskim Vatera i kilka powszechnych lexykonów mitologicznych, głównémi byli przewodnikami autora, nie zaś wszyscy historycy od Sagów i Adama Bremeńskiego aż do Kojałowicza, jak autor na stron. XIV. wstępu zapowiada, bo innych zaledwo ślad w jego książce znajdujemy;

owszem słusznie mu zarzucić można, że się nie starał głębiéj wejrzeć w Sagi i z skandynawską mitologiją zapoznać. Pomimo usiłowań autora, żeby mitologiją litewską prosto od greckiéj i rzymskiéj wyprowadzić, zdaje się podobniejszą rzeczą do prawdy, że jak Litwa jest narodem mało co wcześniejszéj przed Chrystusem formacyi, i że do jéj składu Sławianie, Gotowie i w części Finnowie wchodzą, tak i jéj mitologija nie od Greków i Rzymian, ale prosto z tego samego źrzódła początek swój bierze. Po co sięgać do Greków i Rzymian kiedy z prostego porównania tradycyj mitycznych litewskich z mitologiją sławiańską widać, że na wzór jéj najwięcéj wyobrażeń o bóstwach i wszelkich istotach nadprzyrodzonych w Litwie się utworzyło! To połączone z piérwiastkowémi, od miejscowego położenia lub od wrodzonych całemu rodzajowi ludzkiemu skłonności zależącémi, pomysłami o najwyższéj istocie, z podaniami przyniesionémi od Skandynawów, stanowić będzie religiją pogańską w dawnéj Litwie. O bardzo bliskim związku mitologii litewskiéj z Sławiańską dowodzą sameż opisy autora, *np.* pod artykułami *Sotwaros* k. *Lado* k. 39, *Ziemienikas* k. 30. i t. d. Co się tycze długoletnich poszukiwań autora o zwyczajach i obyczajach litewskich, o powieściach i śpiéwach tego narodu bardzo wdzięczni jesteśmy za tak ważne usiłowania, jakkolwiek rezultat ich nader jest słaby: mało

bowiem postrzegamy nowych podań i pieśni gminnych, prócz tych, które autor bardzo właściwie z Bohusza i Rhezy przytacza. Wszakże nie jest to wina autora. Naród Litewski długo zamieszkując rozległe puszcze i błota między Dźwiną i Wisłą rozciągające się, pod ostrym klimatem, bez potrzeb, bez handlu, w prostocie swych obyczajów dotrwał prawie trzynastego wieku, i zaczął bydź potężnym i znaczącym aż na schyłku swojego samoistnego bytu i swojego poganizmu; zostając długo pod przewagą sąsiadów, bez własnego pisma, mało znaczące potrafił zachować tradycyje, a i te żarliwością nawracających chrześcijan za Jagiełły, ledwo nie ze szczętem zatarte zostały. Ztąd nie podobna mieć nawet pretensyi, żeby badania tegoczesnego pisarza, choćby był najpracowitszy, mogły bydź obfite w wypadki i pomyślne do zbogacenia mitologii i piérwiastkowéj historyi litewskiéj.

Rozdział piérwszy wylicza bóstwa większe, z nich *Kawas* (k. 12.) Bóg wojny najlepiéj jest opisany i stanowi artykuł najbardziéj zajmujący z całego rozdziału. Ale wszędzie taż sama dążność, żeby poganizm litewski wywodzić z mitologii greckiéj, chociaż wiele wyobrażeń religijnych jest właściwych wszystkim prawie ludóm na ziemi *np.* powieść o rozmnożeniu rodzaju ludzkiego po potopie przez boga *Pranźimas* albo *Prokorimos* (k. 2.) niekoniecznie dowodzi żeby miała bydź naśladowana z powieści o Deukalionie. Ileż

to narodów w Azyi, południowéj Afryce, e, w Indyjach zachodnic i na wyspach Oceeanu spokojnego, podobne podania przechowały. Prócz tego postrzegamy niepomiarkowaną chęć w autorze nadawania przymiotów i nazwisk Bożkóm bez żadnego słusznego powodu. Jak *np.* opisując Bóztwo *Okkapirmas* mowi: „Nazwanie to znaczy, ten, który istniał przed czasem. Jest to przymiot Najwyższéj istoty wzięty za osobnego Boga. *Bezpochyby*, ten bóg nazywał się jeszcze *Okkas*, także *Oraj*: gdyż te wyrazy oznaczają obrót meteorów, napowietrzne zmiany, czas.“ Jakiż to jest dowód, że: *bez pochyby* (to jest bez wątpienia) bóg *Okkapimas* miał inne dwa nazwiska *Okkas* i *Oras* dla tego że te wyrazy oznaczają meteory i czas. Skądże ta pewność? Tak się autorowi zdało: więc to jest przypuszczenie pisarza, a nie pewność historyczna. To wcale co innego: ale wtenczas nie trzeba *bez pochyby* decydować, bo może takie twierdzenie często chybić. Podobnież autor pomnaża dowolnie liczbę bóztw litewskich: *Kabiry* naprzykład (ob. k. 35.) nigdy nie były znane u Litwinów; przypuszczenie to jest zupełnie arbitralne, a o posążkach które miały bydź znalezione w okolicach Drui w roku 1811 (kar. 37.) nie ma dowodu, że to były bóztwa litewskie. Autor sam tego nie widział, a obywatel co je oglądał zapewne czytać pisma runicznego nie umiał: skądże więc tak pewny wniosek, że te osóbki brązowe z ziemi wykopane do mi-

tologii litewskiéj należały? Wszak podobno nasi przodkowie, prócz żelaznéj szabli, na karkach tatarskich i krzyżackich przytępionéj, i złotych ozdób lub naczyń, złupionych w mazowieckich kościołach, nie używali innych metallów; a jeśli jakim bałwanom kłaniali się kiedyś, prócz ognia świętego, drzew i kamieni, te z większém podobieństwem do prawdy, mogły bydź drewniane lub kamienne, z czém nawet sam autor zgadza się, mówiąc o posągach na karcie 198 swojego dzieła. Jeżeli więc wnioskować na los szczęścia, toż właściwiéj przyznaćby wypadało te posążki Sławianom, którzy daleko polerowniejsi byli od Litwy. Dla czegoż charaktery od kogoś niewiedzieć jak z pamięci do skréślenia podyktowane, miały bydź koniecznie runicznémi. Jaki na to dowód? samemu nawet widząc tak trudne do rozpoznania i ocenienia rzeczy, trzeba bydź bardzo ostróżnym, żeby skwapliwie sądząc, nie wzbudzić nieufności; a dopiéroż na wiarę cudzą wydawać wyrok i opierać na takim fundamencie budowę historyczną, jest to zamki na lodzie stawić.

W drugim rozdziale opisane są boginie, i historja ich daleko więcéj zajmie czytelnika, gdyż tu jest więcéj podań miejscowych, do prawdy podobniejszych. Na największą uwagę zasługują opisy Bogiń *Lethia* na karcie 53, *Wellona* k. 56, *Kronis* k. 69, *Upine* k. 73, *Biruta* k. 86. Ale z drugiéj strony autor niepotrzebnie zupełnie zbogacił mito-

logiją litewską, już i tak przez Łasickiego, bóg wie jakiém prawem powiększoną, nowém bóstwem, zwaném *Budte*, bez żadnéj pewnéj zasady. Toż samo można powiedzieć o nowo stworzonéj Nimfie rzeki Wilii, pod nazwiskiem *Neris*, a to za powagą rymopisa Jachimowicza, który lat temu 86 napisał kilka arkuszy o pożarze wileńskim. Słaby to jest dowód, fantazja poetycka, a jeszcze takiego poety, jakim był ów Jachimowicz, który nie wierszami nędznémi, ani myślami w nich zawartémi, ale tylko skrupulatném wyliczeniem pogorzałych domów w Wilnie, na pamięć zasłużył. Nie było żadnéj Nimfy Neris, ale prosto tak się Wilija zwała u Litwy, i dotąd nawet inaczéj po litewsku jéj wieśniacy nie nazywają. Jedna jeszcze uwaga przychodzi czytając ten rozdział. Do każdego twierdzenia historycznego, potrzebne są jasne i dostateczne udowodnienia: żaden dziejopis w tém dosyć hojnym bydź nie może, zwłaszcza, gdy propozycya jego lub odkrycie jest nowe i ważne. Nasz autor skąpym jest bardzo w téj mierze i nie stara się w całéj mocy swoich dowodów czytelnikowi pokazywać. Tak *np.* dyplomat Kazimierza IV, dany w r. 1483 Rymwidowi (ob. str. 54) na ziemię za pojmanie buntownika Lejszysa, tak jest ważny, że zasługiwałby na umieszczenie go *per extensum* w samém dziele, a piosnka o Lethui powinna byłaby bydź położona w oryginale litewskim obok przekładu polskiego. Cały rozdział trzeci, Bożków mniejszych zawie-

rający, lepiéj jest ułożony, bo nie ma tak uderzających przypuszczeń jak poprzedzające: domysł nawet o początku nazwania Kowna w opisie boga *Kaunis* (k. 91) zdaje się bydź trafnym a przynajmniéj podobniejszym do prawdy od wywodu kronikarzy. Ale co się tycze następnego rozdziału, gdzie autor mówi, o ubóstwieniu ciał niebieskich, sądzilibyśmy niezawodnie że jest napisany prosto dla powiększenia książki, gdybyśmy się nie przekonali z ciągu dzieła o nadzwyczajnéj gorliwości autora, ku wywyższeniu i ubarwieniu tego wszystkiego co jest krajowém, i co było swojskiém dla Litwy. Chęć ta nie uwłacza wprawdzie nic autorowi, kiedy go tylko będziemy uważali jako Litwina, ale jest bardzo niewczesną dla dziejopisa i nader szkodliwą powodzeniu jego książki. Autor nie znajdując nigdzie źrzódeł historycznych do udowodnienia że nasi przodkowie czcili planety i gwiazdy, szuka ich w poezyi litewskiéj. Nie przeczymy że poezyja ściśle się łączyła ze czcią religijną, w piérwiastkach każdego narodu, ale są przecie granice oddzielające ją od mitologii! Wszak powieści o słońcu, księżycu i jutrzence w pieśniach litewsko-pruskich zawarte i przez Rhezę ogłoszone, które autor bierze za główną podporę swojego założenia, nie okazują żadnego śladu ubóstwienia tych gwiazd, lecz wyraźnie wymyślenie poetyckie i to jeszcze daleko późniejsze od bytności pogaństwa w Prusiech. Czytelnik sam się może o tém przekonać

mając przed oczyma kilka takich piosnek w oryginale z tłumaczeniem polskiém położonych od karty 128 do 135. Wreście gdybyśmy i przypuścili w pogaństwie litewskiém cześć światłu słonecznemu oddawaną lub księżycowi, to już mamy na to bożków zwanych *Sotwaros* i *Swajtestix* i boginią *Lajma*, które autor wyżéj széroko opisał.— Po cóż o jednym przedmiocie dłużéj niż potrzeba rozprawiać i powiększać rzeczy z siebie mniéj ważne i same dzieje więcéj jeszcze gmatwające.

Podobnież wyznać musimy że cały rozdział piąty o tajemnicach w religii litewskiéj jest zupełnie niepotrzebny; wyliczenie kilku mniemanych bóztw tajemniczych żadnym gruntownym dowodem niepoparte, a rozprawa o tajemnicach religijnych u Egipcyjan, Greków i Rzymian, jest próżną gadaniną. W następującém daléj opisaniu bogów domowych u Litwy i czci wężóm oddawanéj, którą podobało się na wzór afrykańskiego bałwochwalstwa nazwać *fetyszyzmem*, autor chociaż mocno uprzedzony za pochodzeniem mitologii litewskiéj prosto od greckiéj, nie mogąc jednak ani w Atenach ani w Rzymie owego fetyszyzmu znaleźć, rad nie rad przyznaje, że w tym razie Litwa z Grecyją żadnego nie ma pobratymstwa. Nadto utrzymuje, że, „nastanie tego rodzaju bałwochwalstwa, wzięło początek nie w tych wiekach starożytnych, kiedy się religijność kształciła z polerownością obyczajów narodowych na wzór

polerownych narodów, lecz w późniejszéj epoce, kiedy nieszczęścia polityczne wsteczny postęp cywilizacyi nadawać poczęły.“ (k. 145.) Co to znaczy? spytamy autora? Litwini podług tego twierdzenia mieli bydź kiedyś polerownym narodem? Gdzież są ślady tego? Czy w historyi? nie—bo ta od dwunastego wieku się zaczyna istotnie.—Czy w zabytkach piśmiennych i naukowych?—nie także, bo tych w języku litewskim dotąd nie znaleziono, prócz małéj liczby pieśni gminnych ustnie między ludem zachowanych. A więc to są marzenia poetyckie raczéj, niż podania historyczne, a na marzeniach gruntować żadnéj pracy bezkarnie historyk nie może. Co zaś do czci wężóm od Litwinów oddawanéj nie jest ona wcale skutkiem ani upadającéj cywilizacyi, ani jakich nieszczęść politycznych, ale prosto skutkiem barbarzyńskiego stanu, w jakim Litwa w piérwiastkach swojego utworzenia się, tak jak i wszystkie inne kraje, zostawała. Nie potrzeba dla wystawienia z godnością dziejów litewskich silić się i spekulować nad obszérnym wywodem zakrytych pomrokiem barbarzyństwa piérwszych początków tego narodu, lub tworzyć wątłe i nieufność wzbudzające domysły. Ażeby zasłużyć na powagę, jaką mieć powinien dziejopis i odpowiedzieć wysokiemu swojemu powołaniu, dosyć będzie i dla niego, i dla sławy rodu naszego, a pożytku powszechnego oświecenia, rzuciwszy okiem badawczém i doświadczoném na pochodzenie naszego narodu,

unikać czczéj rozwlokłości, a poświęciwszy główne poszukiwania ku wyjaśnieniu zaniedbanych spraw Gedymina, Olgierda, Kiejstuta i Witolda, podadź je wiekopomnéj następców pamięci. W ich wielkich dziełach które ledwo przez mgłę dotąd były postrzegane, trzeba szukać owych dowodów, że Litwini przez dwa wieki prawie byli potężnym narodem, że ich waleczność, że przezorna polityka ich władców, największy wpływ wywarła, w owym czasie, na los północnéj Europy, że nakoniec historyja tego narodu, prędko znikłego z przestrzeni działań publicznych, zasługuje na bliższe poznanie i zajęcie należącéj sobie karty w powszechnych dziejach świata. Przy końcu rozprawy o bóstwie wężów, autor uniesiony upodobaniem w domysłach, widzi w kamieniu dziwacznéj formy znalezionym w swojéj wsi w powiecie lidzkim położonéj, jéj fetysza, to jest zapewne boga domowego. Odsyłamy czytelnika do karty 153 i 154 samego dzieła, i pytamy się czy w opisie tego kamienia lub w jego figurze na końcu książki znajdującéj się, dójdzie jakiegokolwiek śladu bożka czy téż fetysza. Chyba w wyobraźni autora można znaleźć powody do takiego wystawienia sobie rzeczy. Mówimy wreszcie tylko o opisie i o postaci kamienia litografowanéj, może zobaczywszy w naturze od razu uznalibyśmy go za fetysza nie tylko litewskiego ale i afrykańskiego, ze wstydem za nasze niedowiarstwo. Tymczasem sądząc podług tego co mamy przed oczami

wyznajemy że się nie godzi, prawdziwemu historykowi, ani nawet sumiennemu badaczowi, puszczać tak niesfornie cugle bujnéj imaginacyi. Gdzie są przywidzenia i przypuszczenia dowolne, tam historyi nie ma, a co gorsza znika wiara publiczna i same nawet prawdy, a czasem odkrycia istotnie nowe i szczęśliwe, watpliwości podpadają.

Piérwszą tę księgę mitologii litewskiéj kończy nie wielki traktat, o bohatyrach czyli pół-bogach; lecz ponieważ poszukiwania autora w téj mierze ściśle się łączą z badaniami już istotnie historycznémi, nie mogą więc bydź dostatecznie ocenione, aż póki nam te ostatnie nie będą znajome, i dla tego zdanie nasze o tém odkładamy do wyjścia drugiego tomu. Przydamy tu jednę tylko uwagę, że jeśli autor dobrze wyczytać i zadeterminować potrafił złotą monetę, którą posiada i któréj opis na karcie 165, a wyobrażenie na figurze 17. Tab. III. umieścił, odkrycie to bezwątpienia rzuciłoby niejakie światło na podanie o *Palemonie* tak głośne w naszych kronikach.

Przedmioty czci religijnéj u dawnych Litwinów zajmują piérwszy rozdział drugiéj księgi tego tomu. Ogień, rzeki, jeziora, drzewa, ołtarze i posągi były to rzeczy którym, albo pod postacią których cześć bozką oddawali poganie litewscy. Należy oddadź sprawiedliwość autorowi, że poszukiwania jego w téj materyi są bardzo pracowite i wszelkie ślady historyczne i tradycyjne troskliwie

zgromadzane, mianowicie o rzekach i jeziorach świętych. Lecz rozprawa o posągach potrzebuje znacznego sprostowania. Gdzie tylko idzie o podobieństwo nawet jakiegoś wynalazku zabytków starożytności, tam autor uniesiony zapałem do czynienia wszędzie nowych odkryć w dawnych dziejach Litwy, zapomina zupełnie o powinnościach historyka, widzi inszém zupełnie okiem wszystkie rzeczy i wnioskuje częstokroć bez zastanowienia. Wyszukiwanie wyobrażeń bożków litewskich dało powód autorowi do opisania kilku starych monet w różnych stronach Litwy i Prus znajdywanych. Jedna z nich którą miano znaleźć w okolicy Oran, w powiecie trockim, wytarta już podług wyznania samegoż autora, ponieważ wystawia z jednéj strony osobę w płaszczu ubraną z czapką na głowie i laską w ręku, więc jest *bez pochyby* (k. 201.) wyobrażeniem *Perkuna*. Cóż to za dowód? Owszem widząc figurę téj monety wnosić można z płaszcza i czapki mającéj kształt korony książęcéj, że to jest wyobrażenie osoby panującego —Ale jakiego kraju tego z żadnéj strony téj monety dójść nie można. Gdyby istotnie wynalezioną była moneta Mendoga, tak jak chce autor utrzymać na karcie 208, byłoby to największéj wagi odkrycie i rzecz dotąd we wszystkich szperaniach starożytności litewskich najciekawsza; ale wielkie jest podejrzenie, że autor źle wyczytał napis runiczny na owym numizmacie. Mendog podług aktów za jego czasów ogła-

szanych zawsze był nazywany *Myndowe*: za cóżby na monecie zwał się *Mendok*, przy tém napis w języku litewskim bardzo podpada wątpliwości: już wtenczas na dworze króla litewskiego zdobywcy znacznéj części Rusi i mającego swą stolicę w Nowogródku, język łaciński w stosunkach dyplomatycznych, a sławiański w rozrządzeniach wewnętrznych, zaczął bydź zwyczajniejszy. Co się zaś tycze znaku wodnego postrzeżonego przez autora na papiérze pewnego dokumentu z wieku XVI. w którym autor zdaje się widzieć boga litewskiego *Sotwara* dla tego że w około znaku jest napis ruski: *Sotwor Boh nasz* to najdowodniéj świadczy do jakiego stopnia autor skłonny jest wszędzie wynajdywać ślady pogaństwa litewskiego, nawet w rzeczach zupełnie chrześcijańskich. *Sotwor Boh nasz* nic innego nie znaczy po polsku tylko *Bóg nasz Stworzyciel*: skądżeby się tu zabłąkał bożek *Sotwaros*, między tak gorliwymi chrześcijanami jakimi byli nasi Litwini XVI wieku! Czytając rozdział drugi gdzie jest mowa o miejscach uświęconych, dwie się nam uwagi nastręczyły, piérwsza jest ta: autor pisząc o świątyniach pogańskich w Litwie powiada: „Dość śledzeń gruntownych Jana Potockiego, według których okazało się, że kapłan przy świątyni w Retrze nazywał się *Kréwe*, że tam były posągi litewskich bogów, że na ostatek odkryto w Meklemburgii i Luzacyi, zabytki napisów runicznych w języku Herulów czyli dyalekcie litewskim (karta 220).“

Odpowiémy na to, że śledzenia Jana Potockiego w téj materyi, nie są wcale gruntowne, bo się tylko redukują do kilku suchych wzmianek na stronicach 38, 83, 87, 89, 92, 102, w dziele jego *Voyage dans quelques parties de la basse Saxe*, to jest podróży do niższéj Saxonii, Potocki nie myślał wcale śledzić początków Litwy, ale szukał śladów sławiańskich w Niemczech, a napisy które znalazł na wykopanych pod wsią *Prillwitz* rozmaitych zabytkach starożytności np. *Kriwe*, *Raba*, *Radegast*, *Belbug* i *Kriwe - Radegastu Zern-Bugu*, dowodzą tylko tego, co podobna najzgodniejsze z prawdą się pokaże, że wyraz *Kriwe* ma źrzódło w języku sławiańskim, i że równie oznaczał kapłana u pogan sławiańskich, jak i u litewskich, którzy od piérwszych nazwanie to przyjęli. Druga uwaga będzie w tém, że autor dając tak szczegółowy opis świątyni *Perkuna* w Wilnie wyjętéj podług niego z kroniki J.F.R. to jest Rotundi, i tyle razy tę kronikę przytaczając, nie zacytował nigdzie jéj oryginalnych wyrazów, co byłoby rzeczą nader ważną i koniecznie pożądaną, bo nie jeden może się znaleźć niedowiarek historyczny, którzyby chciał dotykalnie o tak ciekawém odkryciu, jakiém jest owa kronika Rotundi, przekonać się. Taka kronika, jeśli ona rzeczywiście exystuje, powinna bydź w całości osobno wydana, a nie wyjątki z niéj robione. To byłaby prawdziwa przysługa, i taką dziejóm litewskim wyświadczył od lat kilku

uczony i szanowny professor Daniłowicz, przez wydanie odkrytego przez siebie latopisa litewskiego.

Rozdział III. o osobach poświęconych, w ogólności, dobrze jest napisany, chociaż nadto może obszérnie; autor mówi tu najwięcéj podług historyków pruskich, o różnych rodzajach kapłanów pogańskich, o Wajdelotach czyli Bardach litewskich, wieszczkach, czarownikach, guślarzach, Wajdelotkach i wyroczniach. Jedno wszakże miejsce i w téj rozprawie zdziwiło nas nie pomału. Jest to przytoczenie na karcie 258 z *Pojaty* romansu Bernatowicza, o radach lekarskich i pocieszeniu które Wajdeloci nieśli ochoczo dawnym Litwinóm. Autor postąpił tak właśnie, jak pisarz artykułu historycznego w Dzienniku Wileńskim na r. 1829 w N. 1. str. 13 w oddziale historyi, który do objaśnienia dziejów litewskich, z epoki wypraw do Litwy Konrada Wallenroda wezwał na pomoc poezyj współczesnych.—Czyż się godzi, jakikolwiek wypadek historyczny, popiérać dowodami z romansu, a do tego jeszcze tegoczesnego. Bernatowicz bez żadnéj wątpliwości napisał jednę z najlepszych powieści w naszym języku, ale sam z historyi tworząc płód swojéj imaginacyi, nie myślał nigdy żeby go kiedykolwiek miano używać za źrzódło historyczne. Takie dowody i cytacyje są śmiészne i obrażają majestat poważnéj historyi! Trzy rozdziały następujące o ofiarach, świętach, uroczystościach i obrządkach

zawiérają rzeczy dosyć zajmujące: lepiejby jednak było dla czytelników, gdyby autor odrzuciwszy wiele niepotrzebnych porównań i kilkakrotnych powtarzań jednéj i téj saméj rzeczy, ścieśnił zarys swojego obrazu i łatwiejszym go do objęcia uczynił. Szkoda, że święto *Rosy* bardzo powierzchownie jest opisane, gdy wszakże mamy liczne i wyraźne dotąd ślady téj uroczystości pogaństwa litewskiego. Do ciekawéj rozprawy o mogiłach, to tylko dodamy, że nietylko u Łotwy znajome są wielkie kopce czyli kurhany zwane *Milsu Koppi*, ale i na Żmudzi, które tam olbrzymiemi grobami *MilżyninKoppai* nazywają; kurhanów także mniéj więcéj wzniosłych pełno jest po Litwie i w okolicach Wilna. Ale co autor utrzymuje, że w Wilnie „popioły książąt, jak wnoszą, muszą bydź zakopane w górze Zamkowéj od strony wschodu słońca, i kiedy były w trwałych popielnicach, to muszą głęboko leżeć w górze,“ to bydź nie może, i mylą się ci co tak wnoszą; bo Giedymin na mogile swych przodków nie budowałby twierdzy i nie wznosił murów. Toż samo możemy powiedzieć o mniemanym kurhanie czyli mogile Giedymina, którą autor widzi w jednéj górze, z okrąglejszym od innych wierzchołkiem na drodze z Zarzecza na Antokol wiodącéj, położonéj, — przydaje, że: „podania miejscowe i dotąd słyną, iż to jest grobowiec Gedymina.“ Tymczasem możemy sumiennie zapewnić autora i czytelników, że o takiém podaniu nikt w Wilnie nigdy nie

słyszał i tu żadna mogiła Giedymina bydź nie może, kiedy ten wielki mocarz poległ nie daleko *Wielony* i tam pogrzebiony został; o czém kroniki nasze świadczą wyraźnie. Mówi daléj autor — „Mamy znowu ślad, że jeszcze w wieku XVII. wiadomość o mogile Giedymina była powszechną w Litwie, wspomina o tém D. Naborowski pod rokiem 1629.“ Zajrzeliśmy więc do *Noworocznika litewskiego z r. 1831*, który właśnie autor przytacza i z wielkiém naszém podziwieniem zamiast dowodu o mogile Giedymina, znajdujemy te tylko wiersze domownika i poety Książąt Radziwiłłów, w r. 1629. Mówi poeta do Książąt Janusza i Bogusława Radziwiłłów:

Was będą, da Bóg, wieki wiekóm podawały,
Z Was będą śliczne kwiaty wzórki swoje brały;
Dokąd *Giedyminowa góra* będzie stała.
I dokąd będzie *Wilna* w *Wiliją* wpadała i t. d.

oto jest cały dowód z poety przez autora wyciągnięty, na to że w wieku XVII. wiedziano w Litwie, że jest mogiła Giedymina w Wilnie. Powinszujemy i autorowi mitologii i sobie, jeśli którykolwiek z czytelników dowié się więcéj z tych wiérszy, jak to, że: Naborowski mówi tu prosto o górze zamkowéj na któréj kiedyś Giedymin tura zabiwszy późniéj zamek zbudował. Co téż i ostatni wiérsz rzeczywiście potwierdza.

Dwie zajmujące wiadomości i prawdziwie

dla Litwy napisane, o czci dla umarłych i o przeszłém życiu, kończą rozdział VII dzieła o mitologii litewskiéj, a rozdział VIII i ostatni poświęcony jest rzeczóm związek z mitologiją litewską mającym. Za takie rzeczy uważa autor, naprzód *manicheizm*, rzecz z siebie ciekawa i ważna, dobrze napisana, zostaje się do sprawdzenia w dalszym ciągu dzieła, zwłaszcza, że to są wyjątki z rękopismu nowo odkrytego przez autora, zawiérającego myśli mniéj więcéj nowe dla dziejów litewskich. Herby litewskie ma także autor za połączone z mitologiją i temu przedmiotowi kilka kart poświęca. Mówi naprzód o herbie dawnych Prusaków a mianowicie o chorągwi ich starożytnéj, którą nawet kronikarz pruski Symon Grunau sam miał trzymać w ręku. Miała ona wyobrażać postaci trzech bóztw litewskich: *Atrymposa*, *Perkunasa* i *Poklusa*, jak to się widzieć daje na Tab. VI fig. 41. Tu ośmielamy się przypomnieć autorowi, że ów Symon Grunau, jak się Voigt, z porównania szacownych dokumentów historycznych w tajném archiwum królewieckiém znajdujących się z jego kroniką, przekonał, jest wiérutnym bałamutem i kłamcą, że pozmyślał fakta, pofałszował cytacyje i porobił dziwotworne z nich wnioski, tak, że jego cała prawie kronika będąc osnową saméj tylko nieprawdy, na żadną powagę nie zasługuje. Życzymy więc z takiego rodzaju dziejopisami nie bratać się, na świadectwo ich nie wzywać, a iśdź

swoją drogą, wygrzebując, z ciemnoty i matwanin kronikarskich, czystą prawdę historyczną. Przechodząc do herbów właściwie litewskich nieszczęśliwym sposobem wraca autor znowu ku swojéj niezwyciężonéj skłonności do wynajdywania nowych dla historyi litewskiéj rzeczy, a nieopartych na żadnym pewnym fundamencie. Pomimo tego, że herby nawet w Polsce kilku wiekami przed Litwą cywilizowanéj, zaledwo w XIV wieku między szlachtą się upowszechniły, i że szlachta litewska podczas unii *Herodelskiéj* polskie herby przyjęła i tych zaczęła używać; autor odkrywa nowe pieczęci litewskie i odnosi je do wieków pogańskich w Litwie. Widzi w nich fetyszów, runny, litery biaruckie, i t. p. Przypuściwszy nawet exystencyją tych pieczęci z czasów pogańskich pozostałych, przynajmniéj zgodźmy się na to, że fetysze, po zupełném zwłaszcza przyjęciu chrześcijaństwa w Litwie i na Żmudzi, nie mogły już mieć miejsca na końcu wieku XV. Co się zaś tycze mniemanego herbu miasta Wilna, to jest tak śmiészna baśń i tak źle sklejona, że nie możemy się wydziwić jak autor mógł do tego stopnia bydź łatwowiernym, żeby zaufać temu który ją wymyślił i opowiedział mu piérwszy. Naprzód zachowują się dotąd w aktach miasta Wilna, pieczęci miejskie z wieku XVI, z wyobrażeniem chrześcijańskim S. Krzysztofa. Jakże więc w tym samym czasie, bo w r. 1548 urząd jednego miasta mógł dwóch różnych pieczęci

używać, i jeszcze jak różnych! bo pogańskiéj z wizerunkiem jakiegoś olbrzyma *Alcysa* i razem chrześcijańskiéj: powtóre, możnaż przypuścić, biorąc rzeczy prosto i bez uprzedzenia, żeby za panowania Zygmuntów, kiedy wiara katolicka rozszérzona i ugruntowana po całym kraju, kiedy władza duchowna chrześcijańskich nawet różnowierców, cierpieć nie chciała, cóżby ją dopiéro zniewoliło tolerować pogańskie zabytki i gdzie jeszcze, pod swym bokiem w magistracie wileńskim? Jakżeby nakoniec sam magistrat z gorliwych chrześcijan złożony śmiał używać bałwochwalczych znaków w pismach publicznie od siebie wydanych, wtenczas kiedy obraz świętego, był już oddawna godłem jego miasta?

Na tém się kończy praca P. Narbutta saméj mitologii litewskiéj, następuje potém siedm dodatkowych rozpraw do dziejów starożytnych narodu litewskiego. Piérwszy jest przekładem jednego przypisu do historyi pruskiéj Voigta i zawiéra ważne wiadomości o godności arcy-kapłana *Kréwe-Krywejte* u starożytnéj Litwy, do czego nasz autor bardzo rozsądne uwagi względem wartości, jaką mamy przywiązywać do kronik, przydaje.— Potém idzie krótkie przypomnienie o rzece Nerczy płynącéj pod Nerczyńskiém w Syberyi a to dla pokazania, że dwugłoska *Ner*, *nar*, *nur*, i t. d. znajduje się w bardzo wielu nazwaniach wód w różnych najodleglejszych od siebie krajach. Dodatek trzeci pomnaża liczbę

bogiń podług *Voigta*, czwarty zaś traktuje o znakach dostojeństw kapłańskich. W tym ostatnim umieszcza autor podług odkrytego przez siebie rękopismu ciekawą wiadomość; że po zniszczeniu wiary pogańskiéj w Prusiech i w Litwie, żył jeszcze na Żmudzi we wsi *Onkaim* ostatni *Kréwe-Krewejto* czyli najwyższy kapłan, naźwiskiem Gintowt, który umarł dnia 28 Lipca 1414. Daléj opisuje z tegoż rękopismu znaki godności kapłańskiéj u pogan litewskich, to jest krzywe laski.—Możemy z naszéj strony zapewnić także, iż taki korzeń drzewa zgjęty jest do dziś dnia w Prusiech znakiem wezwania wojtowskiego, (*Schultheiss*, w gminnéj pruskiéj niemczyznie *Schult*) i nazywa się *Krumholt* zamiast *Krummholz* (skrzywiony kawał drzewa). Można to widzieć i teraz w kilku wsiach pod Labiau blizko miejsca gdzie już mówią i ubierają się po litewsku. W innych zaś wioskach daléj od *litewskiego kąta* (*Littauischer Winkel*) takie *Krumholt*, które jeszcze i *Kringelchen* nazywają zastępuje laska czerwono pomalowana *Schulzenstock*. Kończy autor ten dodatek dosyć mocném zbijaniem zarzutów poczynionych od Voigt'a przeciw rzetelności spisu *Kréwe-Kriwejtów* pruskich zostawionego nam przez kronikarzy; idzie nakoniec żarliwa i mniéj potrzebna obrona kronikarza Grunau, o którym jużeśmy wyżéj mówili, i który na żadną obronę nie zasługuje; bo choćby go nie znał Voigt i nie zbijał, byłby zawsze dla swoich bajek i

kłamliwych utworów bałamutem. Ostatnie trzy rozprawy, o abecadle biarmskiém czyli permskiém, o języku litewskim i o nawracaniu pogan w Litwie, żadnego związku z mitologiją nie mające, zostawujemy do wyjścia następnych tomów dzieła autora, gdzie zapewne te materyje właściwiéj i dokładniéj pomieszczone będą.

W ogólnosci mitologija P. Narbutta o połowę mogłaby bydź mniejszą, odrzuciwszy na samprzód nadto liczne porównania z grecką i rzymską mitologiją; erudycyja bowiem takiego rodzaju w dawniejszych czasach mogła bydź dobrą, ale teraz kiedy wiadomości o Grecyi i Rzymie są wszędzie upowszechnione, rozprawy o nich są czasem zbyteczne: wreszcie każdy czytelnik w książce piszącéj o Litwie radby o niéj tylko najwięcéj znajdywać wiadomości, albo jéj sąsiadach jakimi byli Niemcy, Ruś i Polska. Druga przyczyna wielkiéj rozwlokłości tego dzieła, jest nagromadzenie nadzwyczajnéj liczby bóztw bez krytycznego nad ich początkiem zastanowienia się. Łasicki i Stender głównémi źrzódłami byli dla naszego autora: tymczasem wiadomo, że Łasicki upatrywał bożków w wielu wyrazach nie mających tego znaczenia, lub przymiotnikach bóztwóm dawanych, zwłaszcza, że po litewsku dobrze nie umiał; podobnież Stender liczbę bóztw u Łotwaków arbitralnie pomnożył. Dzieło całe jest napisane w ogólności dobrym językiem polskim, napotykają się wszakże często

litwinizny i niektóre dziwaczne wyrazy, których wystrzegać się radzimy autorowi. — Przytaczamy tu główniejsze *np. dopiero* zamiast *teraz*, *narzeczenie*, *leczebne*, *spływa się ze swiętością dębu* (k. 188.) *znajdzienie*, *usobne*, *ubieżyszcze*, *nacyonalne*, *niewyperswadowany*, *narzeczenie nacyonalne*, *lingwiczne*, *nastanie*, *dotyla*, *pojasnie sie*, *gotycyzm*, *zamiast* gotyzm, *bez pochyby*, i t. d.

Wytknąwszy błędy dzieła i wskazawszy jego zalety, mieliśmy jedynie na celu pomoc autorowi w unikaniu podobnych usterków w dalszych tomach.—Przekonani bowiem jesteśmy, że ścisła i sprawiedliwa krytyka jak z jednéj strony wielce jest pożyteczna samemuż autorowi, tak rozsądnemu czytelnikowi, jest raczéj skazówką dla odniesienia prawdziwéj korzyści z czytanéj książki, nie zaś powodem do jéj potępienia. Przeto raz jeszcze powtarzamy, że mitologija litewska P. Narbutta, pomimo jéj wad jest dziełem szacowném i godném czytania; że ktokolwiek umié cenić rzadką pracowitość obywatela oddanego gospodarstwu wiejskiemu a gorliwie poświęcającego swój czas i zdolności do upowszechnienia dziejów krajowych, między spółziomkami, ten zapewne pracy P. Narbutta w zbiórze ksiąg swoich mieć nie zaniecha! My z naszéj strony pośpieszamy wynurzyć gorące życzenia, abyśmy jak najrychléj dalszy ciąg tego dzieła na widoku publiczném oglądać mogli.

— Wstęp albo wiadomości przygotowawcze do historyi powszechnéj dla dziéci. — Przez A. L. Schlözer'a. — Przekład z niemieckiego, podług wydania szóstego. — Wilno. — Józef Zawadzki, własnym nakładem. — 1835. — in 12. Część piérwsza str. 126. Przemów, tłumacza i autora oryginalnego, XXVIII. Część druga, str. 180.

Przekład niniejszy zapowiedziany w r. 1834, doprowadzony teraz do skutku, czyni zadosyć zupełnie swojemu zamiarowi. Przeznaczeniem jego jest służyć, *za poprzednicze* i *przygotowawcze wiadomości*, do *historyi powszechnéj dla dziéci*, przerobionéj z Bredow'a, o któréj wydaniu, w języku polskim, była wzmianka, w drugiéj części Wizerunków (str. 110 i 111), z napomknięciem o innych uczonych pracach tłumacza *wstępu* Schlözer'a. Zaiste, umiejętnie i porządnie wykonywanym pracóm tego rodzaju, nie można nigdy nadto zalety winnéj przyznawać, zwłaszcza, w dzisiejszym zatrudnień umysłowych stanie, kiedy historyja wzniosła się na szczebel literatury tak okazały i górny, tak przydatny i pożyteczny, tak, wyłącznie, do ducha i powołania, czasów naszych stosowny, że prawie wszystkie jéj zalety w sobie skupiła.

Pomimo wielkich różności, w zdaniach uczonych mężów, względem przymiotów historyka, względem formy opowiadania dziejopisarskiego, tudzież rozlicznych historyi wi-

doków, Schlözer zawsze utrzymuje z chwałą dostojne miejsce, jakie w hierarchii uczonéj zajął. Tłumacz, który wartość jego uczuć, oszacować, i do pożytku krajowców zastosować potrafił, już tém samém niepowszednich talentów i rzadkich usposobień dowodzi.

Nie mówimy nic tutaj, o celu, pożytkach, tudzież sposobie korzystania, z tego szacownego dziełka, chybabyśmy chcieli powtarzać rzeczy, w przemowach, tłumacza i autora oryginalnego, na czele piérwszéj części wyłożone, do których czytelników naszych nie wahamy się odsyłać; bo tak tuszymy sobie, że rzadki z nich téj uczonéj książki nie nabędzie. Ale tego przemilczeć nie powinniśmy, iż bezimienny tłumacz, oprócz wydania na świat niniejszego *wstępu do historyi powszechnéj*, oprócz ogłoszenia drukiem historyi przerobionéj z Bredow'a, tudzież w powtórzonych wydaniach jeografii Xaw. Ansart'a, zbogaconéj i sprostowanéj własnémi uzupełnieniami, pracując przy tém, ze stateczną wytrwałością, nad przedmiotami nauk historycznych, zbogaca nadto Wizerunki licznémi artykułami, które, co do wyboru rzeczy, oraz gładkiego ich w mowie polskiéj odlania, najwziętszym pismóm zbogacającym *zbiór* ten *rozpraw naukowych* i *charakterów ludzi niepospolitych*, w każdym, a najbardziéj uczonym zawodzie życia, nie ustępują.

— Wybor poezyj z pisarzów polskich, z dołączeniem uwag o istotném źrzódle, duchu i celu prawdziwéj poezyi. — Przez Adama Pieńkiewicza. — Wilno. — Drukiem Józefa Zawadzkiego. — 1835. — Sposzyt pierwszy. — *Oddział piérwszy.* — Pienia religijne. — in 12. str. 132; dedykacyi, listy prenumeratorów i spisu poetów str. nienumerowanych 12, przemowy LVI. — Sposzyt drugi. — *Oddział drugi.* — Wiérsze filozoficzne. — str. 232. — Sposzyt trzeci. — Ciąg dalsy wiérszy filozoficznych poważnych i tkliwych. — str. 232. — Cztéry jeszcze wyjść mające, w nieprzerwanéj po sobie kolei, sposzyty niniejszego zbioru, zupełną jego całkowitość, jaką sobie wydawca zamierzył, uskutecznią.

W rozprawie dosyć obszernéj i gładko napisanéj, skupił P. Pieńkiewicz celniejsze o poezyi pojęcia, które, jak oświadcza, z pism teoretycznych Brodzińskiego, Korzeniowskiego, swego niegdyś nauczyciela, w *Liceum wołyńskiém*, tudzież innych wyczerpnął. Według nich: — *Zrzódłem poezyi, jest serce człowieka; duszą jéj, wierne uczuć namiętności i charakterów ludzkich obrazy; a celem poezyi jest obudzenie w ludziach prawych uczuć.* Gruntując się na téj ostatniéj zasadzie wydawca, wpada na niesnaski dawnéj i nowéj szkoły poetyckiéj, i *canit veterem*, romantyków z klassykami, *quaerelam*, któréj część większa zagadnień, dzięki nieprzerwanemu ich

roztrząsaniu, już się na miejsca pospolite (*loci communes*) w krytyce literackiéj wystrychnęła. Wierny celowi, jaki poezyi założył, powstaje natarczywie wydawca, na najznakomitszych nawet, jak na Bajron'a naprzykład, poetów, za to, że do niego nie dążyli. Jakkolwiek, chwalebną ta jest żarliwość religijno-moralna wydawcy, ze smutkiem wszakże wyznać nam wypada, zapatrując się na płody sztuk pięknych, że nie to ich, koniecznie, bywa istotnym celem. Poezyja, malarstwo, rzeźba, i t. p. piękność i szkaradę, cnotę i zbrodnie, słowem złe i dobre, zarówno idealizują; a wtenczas tylko rozmijają się ze swoim celem kiedy się im dostąpić tego nie uda. Wszelakož rzetelny społeczności pożytek wymaga tego, ażeby estetyczne człowieka kształcenie zgodnie z moralném postępowało; i ten to właśnie pożytek, ta „korzyść moralna była powodem wydawcy do zebrania niniejszego *pieśnio-księgu* i pobudką do okazania go na widok publiczny." Poezyja i Moralność, są to, według twierdzenia P. Pieńkiewicza, *dwie rodzone siostry* i *przyjaciółki odwieczne*; zgodę ich, przeto jedynie i dobrą harmoniją, za prawdziwe pienie uznał; resztę zaś, coby piérwsza z siostr, przy wtórowaniu wolniejszego sposobu myślenia towarzyszki, nuciła, odrzucił.

Ztąd wyniknął zbiór wiérszy Religii z moralnością poświęconych. Zbiór ze wszech miar szacowny którego czytania, matka żadna

nie zakaże swéj jedynaczce. Można w nim znaleźć mnóztwo rzeczy zdolnych smak, serce i umysł ukształcić; zdolnych przynieść miłą rozrywkę i roztargnienie w chwilach nudnéj samotności a słodkie wytchnienie i wypoczynek po trudach: bo to jest książka którą gdziekolwiek otworzywszy, rzadko można chybić, żeby się coś interesującego nie napotkało.

Lecz, ponieważ jest to *wybor poezyj*, godzi nam się zrobić, jak mniemamy, tę uwagę, że do niego, zanadto może wielu, wydawca, *ignoti nominis* autorów, przypuścił. Są tu obok wyjątków z niezachwianéj i czasu długością ustalonéj sławy poetów naszych, *robotki szkolne niektórych zdatniejszych kawalerów*, nie mających nawet pretensyi sięgania po wziętość *wyborowych pisarzów*, którzy na jednym mniéj więcéj szczęśliwym wierszyku, *imionnikowi*, *dziennikowi*, *noworocznikowi*, i t. p poświęconym, cały swój zawód poetycki zakończyli. Krasicki, Trembecki, Zabłocki, i podobni im w sławie talentu, zdumieliby się nie pomału, gdyby ich do grona, podobnych towarzyszów wprowadzono, o których się teraz mimowolnie, w książce P. Pieńkiewicza ocierać muszą. *Ego autem neminem nomino*, *nemo me irasci potest*, *nisi qui ante se confiteri voluerit.* Trudno prawdziwie zgadnąć, czy P. Pieńkiewicz chciał przez to podłużyć spis poetów na czele zbioru swojego umieszczonych, czy téż przez grzeczność lękał się

uchybić tym wszystkim którym się kiedykolwiek wiérszyk sklecić udało, czy téż wreszcie *captando benevolentiam*; cóżkolwiek bądź z tego, zawsze jednak powiémy otwarcie, że tu jest *wielu wezwanych a mało wybranych*. O planie i układzie niniejszego zbioru nic, do całkowitego wyjścia wszystkich sposzytów, powiedzieć nie możemy. To jednak jest jawna, że wydawca nie miał na celu w téj mierze podziałów poezyi na jéj rodzaje, gdyż się tu liryczne, opisowe, dramatyczne i t. d. wyjątki, na przemiany, z sobą mięszają.

Prawda, że literatura nasza, po większéj się części z tłumaczeń składa: nie wielu mamy dobrych pisarzów z siebie rzecz snujących w prozie, a mniéj jeszcze znośnych poetów, chociaż się już książeczek pod tytułem Poezyje N. N. nie mało namnożyło i krzewi się ich moc wielka codziennie; wszelakoż, w zbiorze *naczelnych wyjątków*, radzibyśmy byli więcéj oglądać miejsc oryginalnych, niż przekładów. Nie wątpimy, że oczekiwaniu temu stanie się zadosyć, w następnych cztérech sposzytach, których wyjściu rychlejszemu z pod prassy, i uczucie potrzeby dobrych do czytania książek i zachęcająca u nas zawsze, do rzeczy pożytecznych oświecona Publiczność niewątpliwie dopomoże, na co usilność, chęć dobra i pracowitość P. Pieńkiewicza rzetelnie zasługują.

SPISANIE RZECZY W CZĘŚCI DWÓNASTÉJ ZAWARTYCH.